Majdanek — str. 3

I. J. Kamiński
Dobry początek — str. 5

Poezja Olgi Dauksztу
— str. 8

Stefan Wolski
Ten dzień i następne—str. 9

CENA 2 ZŁ

LUBLIN BIAŁYSTOK KIELCE RZESZÓW

Kamena

LUBLIN 15.IX.1966 Nr 17 (350) R. XXXIII DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY Wychodzi od 1933 r.

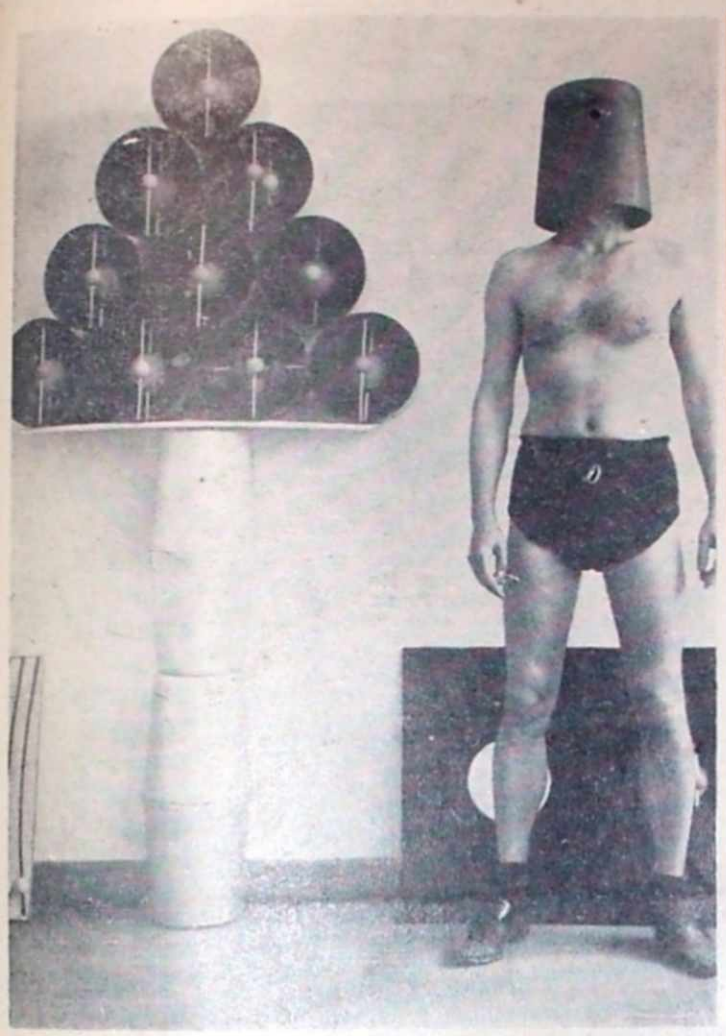

Fot. A. Polakowski

Sympozjum puławskie już zakończone. Pozostały obrazy i rzeźby, na pewno kontrowersyjne, lecz niebanalne. I to m. in. określa wartość całej imprezy. Były też próby happeningu, takie jak na tym zdjęciu. (O Sympozjum piszemy na str. 4).

Poezja bułgarska

IWAN SARANDEW

POEZJA bułgarska — po okresie 500-letniej niewoli tureckiej — znajduje się wciąż w stadium poszukiwań. Mimo to jednak pewne rysy zasadnicze już dziś dają się uchwycić.

Może najważniejszymi cechami współczesnej poezji bułgarskiej jest jej wyzwolenie się ze sztampy, aktywny stosunek do zjawisk otaczających i również aktywny rozkwit indywidualności twórczej, poszukiwanie nowych metod wyrazu i głęboki realizm, połączony z optymistycznym dążeniem ku lepszej przyszłości narodu i całej ludzkości. Procesy, które zaszły w życiu nowej Bułgarii, dopomogły do ukształtowania się nowej etyki twórczej, wiodącej ku prawdzie, nie fałszowanej racją dogmatycznych przepisów. Najlepiej widać to na konkretnych przykładach.

Zbiór poezji Weselina Chanczewa „Liryka" stał się prawdziwym wydarzeniem w bułgarskim życiu literackim. Poeta otrzymał za „Lirykę" najwyższe odznaczenie pisarza bułgarskiego — Nagrodę Dymitrowską. O książce tej napisano, iż poeta zawarł w niej szlachetny bunt przeciw rutynie w twórczości, przeciw konserwatyzmowi treści i formy. Bije ona rytmem współczesności i przejawia się w niej świadomość wysokiej roli, jaką spełnia sztuka, oraz poczucie odpowiedzialności szlachetnego powołania artysty. W poszczególnych wierszach „Liryki" widzimy głębokie wzruszenie, szczere poetyckie uogólnienie, filozoficzne rozmyślania nad życiem, obowiązkiem, pięknem i sensem istnienia. Całe to bogactwo nastrojów i myśli zostało podane w nowoczesnej formie poetyckiej. Dowodem popularności „Liryki" Chanczewa jest jej dwukrotne wydanie (1960 i 1961 r.), a także niemal pełne powtórzenie jej treści w zbiorku „Abyś pozostał" w 1965 r. Najpiękniejszy jest cykl „Żyję", gdzie poeta w trudnym okresie swego życia zawarł całe bogactwo ogólnoludzkich treści i myśli, znajdując dość siły moralnej, aby dostrzec w cierpieniu piękno i znaleźć optymistyczne akcenty tam, gdzie kto inny znalazłby tylko beznadziejność. Cykl paryski o dziewczynie i malarzu ulicznym, ujęty w formę

(Dokończenie na str. 4)

Przyszłość powiatowej kultury

WOJCIECH JANKOWERNY

SPORY i dyskusje, jakie wciąż wybuchają wokół problemu upowszechnienia kultury, poszukujące nowych metod i form działalności, starające się określić model wiejskiej i małomiasteczkowej placówki kulturalnej, obok teoretyzowania przynoszą też próby praktycznych rozwiązań. Wynikiem tych przedsięwzięć są różnego rodzaju kluby, towarzystwa i zespoły. Nowe elementy określające ich odmienności dotyczą spraw różnorakich poczynając od wyglądu wnętrza, poprzez zasady organizacyjne, aż do metod i treści działania. Pomijając kryteria klasyfikacyjne można by w tym miejscu wymienić głośne kluby „Ruchu" i „młodego rolnika", szkoły zdrowia i przysposobienia rolniczego, zespoły estradowe i muzyczne, dyskusyjne i amatorskie kluby filmowe, koła miłośników teatrów, kółka zainteresowań i grupy dyskusyjne. Wnoszą one ożywcze fermenty w kulturalne aktywizowanie małych środowisk, wyzwalają szereg społecznych inicjatyw.

W ogólnym zafascynowaniu nowościami umykają jednak często uwadze placówki mające już za sobą długą i żmudną drogę rozwojową, a stanowiące w naszym życiu kulturalnym ważki element. Mam na myśli biblioteki.

Nie negując znaczenia filmu, radia, telewizji, teatru, silnie podkreślić trzeba rolę książki. Ona bowiem jest źródłem przeżyć artystycznych, narzędziem kształtowania estetycznych gustów, szermierzem w popularyzacji postępowych i nowych idei i wreszcie niezastąpionym źródłem wiedzy, z którego czerpać można do woli, w sposób planowy i systematyczny.

Perspektywy książki, a w związku z tym i biblioteki, rysują się, moim zdaniem, nader optymistycznie. Warto je dostrzec i koncentracją wysiłków oraz środków materialnych przyspieszyć ich rozwój. Biblioteki nawet w tradycyjnym pojęciu długo jeszcze będą odgrywać niezastąpioną rolę. Udowodniły, że potrafią prowadzić wszechstronną działalność kulturalną i stać się atrakcyjnym i żywym ośrodkiem życia kulturalnego wsi i miejscowości. Nie stronią one od sięgania po formy lekkie i chwytliwe. Z równym powodzeniem co wypożyczanie ustawionych równiutko na regałach książek prowadzą zespoły dramatyczne, muzyczne, taneczne, śpiewacze, wykorzystują film i telewizję. W ten sposób zbiegają się w nich wszelkie przejawy działalności kulturalnej. Reprezentowany jest tu nurt lżejszy, rozrywkowy i nurt poważniejszy o silniejszym gatunkowo znaczeniu. Najważniejsze zaś wydaje się to, że wszelkie poczynania ściśle ze sobą korelują i podporządkowują naczelnej idei propagandy książki i czytelnictwa. W ten sposób łączą przyjemne z pożytecznym.

Oczywiście liczba bibliotek o tak szeroko zakrojonym programie działania nie jest jeszcze zbyt liczna, ale by przedstawić osiągnięcia takiej metody i takiego pojmowania zadań bibliotecznych nie trzeba sięgać do przykładów ze Skandynawii

(Dokończenie na str. 7)

Zamojski jubileusz

DZIEŃ DOBRY SZKOŁO!

BOHDAN KRÓLIKOWSKI

NIE LUBIĘ się z nikim żegnać. Pożegnania to zawsze coś smutnego, nawet gdy rozstajemy się z kimś obojętnym, a cóż dopiero, gdy przyjdzie się żegnać z kimś tak bliskim jak szkoła...

Odwiedzam ją niekiedy — raz, dwa razy w roku. Spaceruję wtedy po mrocznych, starych korytarzach, obserwowany nieufnie przez rozhukanych nastolatków w dżinsach: czego tu szuka ten łysiejący facet, może to nowy belfer? Wiele się tu zmieniło tylko podłoga ta sama, stara i skrzypiąca; pamięta chyba czasy sławnych rektorów Akademii.

Ale najlepiej w czasie lekcji. Można wtedy spokojnie spacerować cichymi korytarzami i wspominać. Można zaglądać przez matowe szyby do klas i nadsłuchiwać. Nadsłuchiwać głosów starych belfrów, tych, co odeszli i tych, co jeszcze pozostali.

Skrzypi podłoga, słychać kroki. Odruch lęku: to Dyrektor, zaraz stanie i zapyta groźnie: co ty tu robisz? marsz do klasy!

Ale Dyrektor uśmiecha się, wyciąga rękę, prosi do gabinetu, częstuje papierosami. Cóż to znowu? Tak, minęły latka, minęły!

Wychodzę ze szkoły na pusty, choć pełen słońca i wspomnień dziedziniec. Odchodzę ze słowami: dzień dobry szkoło, dzień dobry kochana, stara budo — za rok, za pół znowu się zobaczymy...

* * *

Z pięćdziesięcioletniego żywota szkoły do mnie należy ostatnie dwadzieścia (prawie) lat. Kiedy pierwszy raz wchodziłem na skrzypiące schody jako uczeń, w pumpach i kołnierzyku Słowackiego, z niskim jeszcze czołem, niedawno właśnie skończył się szary powojenny jubileusz trzydziestolecia. Czterdziestolecie minęło prawie niezauważone, teraz pięćdziesięciolecie, kawał czasu, kto z nas dożyje setki — brylantowego jubileuszu starej budy?

Moje dwudziestolecie nie rozpoczyna jednak moich wspomnień o szkole. Są one wcześniejsze i bolesne — wrześniowe. Pamiętam szkołę jako siedzibę Feldgendarmerie, a jeszcze wcześniej jako szpital polowy. Widziałem nawet jakiegoś jesiennego dnia w 1939 roku, jak wnoszono do gmachu szkoły nosze z rannymi w polskich mundurach.

Zaraz po wojnie, kiedy to chodziło się na Rotundę oglądać spalone trupy, odkryto na boisku szkolnym długie rowy wypełnione resztkami ciał w zielonych mundurach. Stoi tam dziś tablica, gdzieś obok, ale na miejscu właściwych grobów zrobiono ulicę.

(Dokończenie na str. 10)

BATIUSZKA

EDWARD REDLIŃSKI

ZARAZ za progiem Niedźwiedziowej chaty uczepiła się mnie idiotyczna kwestia. Idę oto przez wieś, o której wiem tyle, co widzę — że ulica szeroka i płoty nieporządne — a we łbie mam jedno: jak zwracać się do niego? — *„Panie prezesie"? Proszę księdza"?* Zwyczajnie, jakby nigdy nic: *„Pan, panie Krzemiński, pozwoli..."?* A może brawurowo: *„Ja chociaby pohoworyci z wami, batiuszka, o waszom kółku rolniczym..."* W Nowej Woli i wsiach przygranicznych rozmawiają „po prostu", mieszaniną białoruskich, ukraińskich i polskich słów.

W nierozumną tremę wpędził mnie Borys Niedźwiedź, księgowy kółka rolniczego. Wyjaśnił, że w skład zarządu wchodzi pięć osób: dwaj partyjni, w tym sekretarz podstawowej organizacji partyjnej, dwaj bezpartyjni oraz ksiądz prawosławny — „batiuszka", jak nazywają go parafianie i sąsiedzi. Batiuszka też bezpartyjny.

Zdziwiłem się, ostatnia uwaga wydała mi się niepotrzebna. Niedźwiedź uznał za stosowne dodać:

— *Panie szanowny... Nie wiem, co panu gadano, ale batiuszka do partii nie należy.* — Tu coś sobie przypomniał, uśmiechnął się.

— *Raz na zebraniu zarządu łamaliśmy głowy nad częściami zamiennymi do traktora. Ktoś mówi, żeby załatwić na lewo. Najłatwiej i taniej. „Trudno, trzeba"* — zgodziliśmy się. A batiuszka kaszlnął, pokręcił głową: *„Nu co wy, partyjni".* I wyłożył nam, co Lenin pisał o uczciwości.

— *Dobrze* — ja na to — *ale są takie sprawy, że jak nie wypijesz, nie załatwisz.*

— *Jo* — przytwierdził Niedźwiedź. W młodości zrył kawał Śląska. — *Są takie sprawy. Nawet batiuszka nie załatwi ich, choć taki uczony i szanowany. Wtedy nas wysyła.*

Kółko w Nowej Woli okazuje się, nie byle jakie: pięć ciągników, trzy snopowiązałki, cztery agregaty omłotowe, cały tabor pługów i przyczep. Roboty przy tym dla prezesa a roboty. I odpowiedzialności.

— *Po co batiuszka wziął taki krzyż?* — dziwię się.

— *Ludzie go wybrali...*

Niedobrze było z kółkiem, w długach grzęzło po uszy. Dotychczas prezesi marnotrawili sprzęt sami i innym pozwalali marnować. Jeden wyleciał za to z partii, a drugi trafił pod prokuratora. Aż przyszło do tamtego zebrania. Pełna sala była. Duszno. I cicho. W prezydium goście z powiatu. Czekają, czekają, nikt nie zabiera głosu. Aż wreszcie wstał batiuszka. Dobitnie wyrąbał prawdę, prosto w twarze — prezesowi, sąsiadom, parafianom. Kto kradł, kto przymykał oczy, a kto tchórzył. Krzyk się podniósł. Zerwał się Michał N., zięć komendanta, dalejże do batiuszki „po matuszkie". Pop wzniósł ręce. — *Człowieku* — prosi — *zostaw kości mojej matki tam, gdzie ją hitlerowcy za-*

(Dokończenie na str. 6)

PRASA zachodnioniemiecka poświęca obecnie więcej uwagi sytuacji, jaka panuje w Berlinie zachodnim. Chodzi nie tyle o sprawy polityczne, ile o gospodarcze. Zanim zrelacjonujemy głosy dzienników wychodzących w NRF zacytujemy szwajcarski tygodnik **„DIE WELTWOCHE"**, który zamieścił interesujący artykuł pt. *„Berlin —najdroższe okno wystawowe Zachodu"*. Tygodnik pisze m. in.:

„Berlin zachodni jest najdroższym oknem wystawowym Zachodu wobec krajów Europy wschodniej. Od 1951 r. NRF wydatkowała 35 miliardów marek, aby utrzymać tę wyspę przy życiu i umożliwić mieszkańcom Berlina zachodniego zrównoważenie ich standardu życiowego z poziomem Niemiec zachodnich. Berlin zachodni bez subwencji nie byłby zdolny do życia... Senat zachodnioberliński i koła gospodarcze tego miasta są jednomyślne co do tego, iż przyszłość Berlina zachodniego uzależniona jest w najistotniejszym stopniu od dalszej silnej ekspansji przemysłu. Przy istnieniu jednak jednomyślności co do tej zasady pojawiają się istotne różnice poglądów i to nie tyle w dziedzinie ekonomicznej, ile głównie w sferze polityki. Trzeźwo i racjonalnie rozumująca gospodarka z wielkim niezadowoleniem obserwuje zjawisko rozbijania sił Berlina poprzez utrzymywanie fikcji, iż miasto to musi rozwijać się jako potencjalna stolica zjednoczonych Niemiec. Gospodarka życzy sobie innego uszeregowania inwestycji, aniżeli senat, kierujący się względami politycznymi. Zdaniem przedsiębiorców nie należy rozbudowywać stołecznych funkcji Berlina, licząc, iż z czasem miasto to stanie się stolicą kraju, lecz należy przede wszystkim podnosić siłę gospodarczą miasta".

Z owym podnoszeniem siły gospodarczej miasta nie jest jednak najlepiej. Jak stwierdza szwajcarski tygodnik *„w ciągu ostatnich ośmiu lat w Berlinie zachodnim zainwestowano 2,5 miliarda marek mniej, aniżeli w Niemczech zachodnich w przeliczeniu na analogiczne moce produkcyjne".*

Gospodarczy kryzys Berlina zachodniego pogłębia się. Wiele zakładów poważnie zastanawia się nad możliwością przeniesienia się do Niemiec zachodnich.

„SPANDAUER VOLKSBLATT" w artykule pt. *„Nastroje niepokoju wśród robotników Berlina* (zachodniego) " pisze m. in.:

„Nastroje wśród załogi zakładów Deutsche Industrie-Werke AG w Szpandawie stają się coraz bardziej napięte. Od czasu, gdy kierownictwo zakładów poinformowało o zamierzonych „przedsięwzięciach racjonalizacyjnych" — czytaj lokautach — nie ma dnia, w którym coraz to nowa grupa robotników nie otrzymuje wypowiedzeń. Załoga nie chce już żyć w ciągłej niepewności: nie wie ona, kiedy zostanie pozbawiona swych warsztatów pracy. W szczególności starsi robotnicy i wielodzietni rozglądają się za nową pracą... Znaczna część załogi stanęła przed alternatywą: albo przyjąć w Berlinie zachodnim pracę niżej płatną, albo zdecydować się na awanturę przesiedlenia się do Niemiec zachodnich. Wielka część załogi widzi swą przyszłość w czarnych barwach".

W dalszym ciągu pismo stwierdza, że i w Niemczech zachodnich trwa obecnie proces redukcji załóg robotniczych, *„co sprawia, że decyzja przesiedlenia się z Berlina zachodniego do NRF jest nazbyt ryzykowna".*

O innym, równoległym w czasie *„przedsięwzięciu stabilizacyjnym"* pisze masowy dziennik zachodnioniemiecki „BZ":

„Nowa oznaka kryzysu w gospodarce berlińskiej: Pintsch — Bamag AG, jedno z najbardziej związanych z miastem przedsiębiorstw, zamierza przenieść swą produkcję do Niemiec zachodnich. Firma zatrudnia 700 pracowników. 220 spośród nich zamierza się przesiedlić do Niemiec zachodnich.

...Polityka gospodarcza rządu NRF wobec Berlina zachodniego przyczynia się do obumierania miasta. Według opublikowanego ostatnio raportu federalnego urzędu statystycznego dla zrównoważenia naturalnego użytku ludności w Berlinie zachodnim niezbędne jest, aby co roku z Republiki Federalnej przybywało do tego miasta co najmniej 15 tys. osób. Tymczasem wskutek „przedsięwzięć racjonalizatorskich" rządu coraz więcej ludzi w Berlinie zachodnim staje wobec perspektywy przeniesienia się do Niemiec zachodnich, przy czym chodzi tu głównie o ludzi młodych, stanowiących o „substancji miasta".

Niektóre dzienniki widzą ścisłe powiązanie sytuacji w Berlinie zachodnim z sytuacją w NRF. Zmniejszenie kosztów produkcji poprzez redukcję liczebności załóg stanowi tylko jedną stronę bońskiej polityki „stabilizacji gospodarczej". W istocie — jak stwierdził przewodniczący związku zawodowego pracowników przemysłu metalurgicznego Otto Brenner — *chodzi o to, aby na rynku pracy podnieść podaż sił roboczych. Tak zwaną rezerwową armię pracy zamierza się utrzymać jako środek nacisku, aby zahamować żądania podwyżki płac i nie dopuścić do polepszenia sytuacji socjalnej pracujących".*

Wracając do problemu Berlina zachodniego. Na pewno rację ma **„SPANDAUER VOLKSBLATT"** stwierdzając, że obecna kryzysowa sytuacja gospodarcza w tym mieście w istocie rzeczy świadczy o *„bankructwie polityki gospodarczej rządu NRF wobec Berlina zachodniego". Dla zdrowej struktury gospodarczej Berlin zachodni nie potrzebuje sztucznego, politycznego windowania koniunktury przez Bonn, lecz szerokich stosunków z Zachodem i przede wszystkim ze swoim naturalnym zapleczem — krajami Europy wschodniej".*

JAN BARECKI

Tylko Polska...

Notes niemiecki

KRÓTKA odprawa celna i jesteśmy w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Właściwie gdyby nie budynek celny na autostradzie, nic by nie wskazywało, że przekroczyliśmy granicę. Powojenne lata nie zdołały jeszcze zróżnicować przygranicznego krajobrazu, zmienić tego, co ukształtowały wieki. Zresztą tu, na tej przymorskiej ziemi, kilka kilometrów za Szczecinem, zacierają się kryteria, zmienia sens ustalonych pojęć.

Spoglądam poza siebie. W tę samą stronę biegnie wzrok niemieckich turystów, wracających z wycieczki do Szczecina. Czy myślimy o tym samym? Tam jest już Polska. Ilu z tych ludzi, którzy po odprawie celnej oczekują na swój autokar, jeździło kiedyś tą drogą do widocznego jeszcze stąd miasta, by załatwić coś w urzędzie prowincji, odwiedzić krewnych, zabawić się w nocnym lokalu? Ilu z nich mieszkało za tymi szlabanami, w miejscowościach noszących dziś takie trudne nazwy?

Niewidoczna kreska granicy przecina zielony krajobraz. Tam Polska, tu Niemcy. Po obu stronach ten sam las, te same pola, ta sama autostrada. Przed nami brandenburskie wsie, tak bardzo podobne do tych, pozostawionych po tamtej stronie granicy. To stąd szły kiedyś zbrojne wyprawy nad Odrę, a potem dalej, na Wschód. To stąd Marchia Brandenburska torowała drogę zalewowi germańskiemu, stąd brał początek „Drang nach Osten". Kiedyś, być może, na tym wzgórzu, na którym stoi dziś budynek celny, zatrzymywały się zastępy napastników i spoglądały w dół: wtedy tam też była Polska.

Granica przestaje być niewidoczna, razi teraz nie budynek celny, lecz ta autostrada, bezceremonialnie wdzierająca się w głąb leżącej w dole krainy. Na ścianie widać mapę, obok niej turyści. „Tak to teraz wygląda..." Zmieszany z tymi ludźmi myślę o rzeczy niemożliwej. Mapa jest jak drogowskaz, orientuje w aktualnej sytuacji. Tu, na tym wzgórzu dzielącym całe wieki, zamiast mapy powinien wisieć podręcznik historii.

Przychodzi Hans, przyjaciel, który miał mnie zabrać do Rostoku. Ma zaaferowaną minę. Zepsuł się samochód. Mamy do wyboru kilkugodzinne czekanie, lub jazdę autokarem, razem z turystami wracającymi ze Szczecina. Wybieramy to drugie, ani mnie, ani jemu nie uśmiecha się wielogodzinna bezczynność.

Autostrada biegnie wśród lasów, czasem przewinie się, jak na taśmie filmowej, gromadka murowanych domów, mija nas coraz więcej aut. Powoli przyzwyczajam się do tych drobnych szczegółów, składających się na inność otoczenia. Obce napisy, inne znaki na drogach, ludzie ubrani nieco inaczej. I szmer twardych słów, zdania, z których nie można wyłowić znajomej melodii.

Autokar wypełniony jest ludźmi. Są poważni, rzadko słychać głośniejsze słowo, śmiech. Nie widać młodzieży, przeważają starzy ludzie, kobiety. Widzę rękę rozwijającą wedlowską czekoladę, ktoś przegląda polską gazetę.

Naprzeciw mnie para niemłodych ludzi. Kobieta spogląda na mnie, po chwili rozpoczyna rozmowę. Widzę w jej oczach błysk zadowolenia. Zgadła, nie jestem Niemcem. Teraz ożywił się także jej towarzysz. „Polak?" — pytają. Tak przypuszczali. Właśnie wracają ze Szczecina, z Polski — dodają, żeby nie było wątpliwości. „Czy pan też ze Szczecina?" Potwierdzam. „Piękny, prawda?" — pytają. „I jak się odbudowuje! A ile dzieci... Polacy są bardzo uprzejmi, z niemieckim można wszędzie."

Rozmowie poczynają się przysłuchiwać siedzący bliżej, niektórzy odwracają głowy i spoglądają w naszą stronę. Moi nowi znajomi wyjaśniają, że znają Szczecin sprzed wojny. Mieszkali tam kilka lat, on pracował w jakiejś firmie budowlanej, ona zajmowała się domem. Przed samą wojną wyprowadzili się do Drezna. Dziś po raz pierwszy od tego czasu odwiedzili Szczecin. „Przeżyliśmy w tym mieście pierwsze lata naszego małżeństwa, dzieci tam się urodziły. Odmłodziliśmy się dzisiaj trochę." Do rozmowy wtrąca się mężczyzna. „Kobiety wszędzie są jednakowe. Ja mówię, proszę pana, chodźmy obejrzeć miasto, a ona ciągnie do parku, do ławki na której siadaliśmy w czasie spacerów." Kobieta nie daje mu skończyć. „Niech go pan nie słucha. Jak się znalazł w miejscu, gdzie stał kiedyś dom, to stracił tę swoją pewność.". „Truda, czy ty nie przestaniesz gadać głupstw?"

Oczy podróżnych wlepione są we mnie. Co ja myślę o tym wszystkim. Biorę kobietę w obronę, mówię, że uczucia są ludzką rzeczą. Ci ludzi wracają dzisiaj z wyprawy w swoją przeszłość. Prawdopodobnie nic nie wiozą ze sobą poza odświeżonym wspomnieniem dawnych lat.

„Niech nam pan wybaczy ten sentyment. My starzy jedziemy do Szczecina, żeby trochę pochodzić po znajomych ulicach. Młodzi szukają już tam czego innego. Z tym miastem nic ich nie wiąże. Chodzą po kawiarniach, zaczepiają dziewczyny."

Nie spostrzegamy, gdy wciąga nas ten temat. Czuję, że ci ludzie mają wiele do powiedzenia. „Wie pan, może to jest dziwne, ale jadę od was jakby uspokojony. Nie spodziewałem się, że tyle zrobiliście przez ten czas." Nie wiem, czy ten człowiek mówi szczerze, czy też chce zmienić temat rozmowy, skierować ją na bardziej bezpieczne tory. „Mówię to poważnie — zastrzega się, jakby odczuł moje wątpliwości — widziałem poza Szczecinem Wrocław, Gdańsk, Koszalin..."

Przestaję na chwilę go słuchać, uderzają mnie w tych niemieckich zdaniach dziwnie miękkie słowa: Szecin, Vroslav, Kdask, Koszalin. Myślę, jakby to brzmiało, gdybyśmy w polskim używali zamiast Lipsk — Leipzig, zamiast Kilonia — Kiel. Przerywam mówiącemu i pytam, dlaczego nie mówi po prostu: Stettin ,czy Breslau. „Kiedy mówimy Stettin — wyjaśnia — mamy na myśli Szczecin do 1945 roku. To samo dotyczy Wrocławia, Gdańska... Gdy wymawiamy ich polskie nazwy oznacza to, że chodzi o czasy powojenne. Dziś na określenie tych miast nie mamy w naszym języku innych słów poza polskimi."

Później będę się z tym zjawiskiem spotykał na każdym niemal kroku. Prasa, książki, drogowskazy, wszędzie z tą samą konsekwencją używana jest polska pisownia nazw osiedli leżących na Ziemiach Zachodnich. Zrozumiałem prostą, ale jakże wymowną treść tego zjawiska dopiero wtedy, gdy zobaczyłem zdjęcie skrzyżowania ulicznego w Berlinie zachodnim, a na nim drogowskazy z niemieckimi nazwami Szczecina i Wrocławia. Tu, w Niemczech nazwy miast pełnią również polityczną służbę.

Nie mam już wątpliwości słuchając tego Niemca. „Objechałem całe Ziemie Zachodnie. Oni tam, w Niemczech zachodnich, gdy krzyczą o powrocie za Odrę nie zdają sobie sprawy, że tych ziem, o jakich oni myślą, już dawno nie ma. Tam jest już Polska. Tylko Polska."

Zjeżdżamy z autostrady, na drodze robi się coraz większy tłok. Jestem już w Niemczech, ale ciągle rozmawiam o Polsce. I znowu przypomina mi się podręcznik historii. W jakich to Niemczech można w ten sposób mówić o moim kraju? Jeszcze niedawno słowo Niemcy miało tak jednoznaczną, tak nieskomplikowaną treść. Wystarczyło kilkanaście lat, by to wszystko zmienić. Zdaję sobie sprawę co reprezentuję w tym autokarze. Żyję w mieście, w którym niejeden z nich spędził większą część swego życia, mieszkam w domu, w którym mógł mieszkać ktoś z tych siedzących wokół mnie ludzi. A jednak otaczają mnie życzliwe słowa, patrzą na mnie życzliwe oczy. Atmosfera, jaka wytworzyła się w autokarze, nie kłamie.

„To dobrze, że pan do nas przyjechał — słyszę jakiś głos. — Zobaczy pan, że i my nie próżnowaliśmy." Przesuwające się za oknami drogowskazy sygnalizują bliskość Rostoku. Wypatruję charakterystycznych wież miasta. Zanim je dostrzegam widzę rząd wysokościowców. Na ich tle wieże są małe i niepozorne. Wjeżdżamy w miasto, pożegnanie jest długie i serdeczne.

przegląd PRASY

OD dawna już pogodziliśmy się z istnieniem tzw. sezonu ogórkowego. Na ten czas godzimy się na rezygnację z teatru, prelekcji i innych ciekawych imprez, nie wymagamy nawet wiele od telewizji. Dobrze, jak znajdzie się tam jakaś ciekawa transmisja. Bezruch kulturalny w letnim sezonie dotyka szczególnie mocno środowiska wiejskie. Jednak **„Czy musi być sezon ogórkowy?"** pyta w artykule pod tym tytułem publicysta **„GAZETY BIAŁOSTOCKIEJ"**, **A. Omiljanowicz.** Oczywiście na wsi obowiązuje inny rytm czasu, ale przecież i tam ludzie potrzebują wytchnienia, rozrywki i odpoczynku, przychodzą do klubów. Autor artykułu odwiedził wiele klubów „Ruchu" w powiecie zambrowskim. Rzeczywistość nie okazała się różowa. W większości klubów brak było jakiejś zorganizowanej pracy, były i takie, w których ostatnia impreza odbyła się w marcu. Ale przecież istnieją także placówki dobrze pracujące. *„Dlaczego* — pisze Omiljanowicz — *na przykład w Woli Zambrowskiej, gdzie aktyw wiejski sam założył sobie klub — a nawet od kilku miesięcy płaci za jego utrzymanie — jest działalność kulturalno-oświatowa, a w innych jej nie ma. Nie żądajmy pracy kulturalno-oświatowej od kierowników klubów, chociaż przy dobrych chęciach, i oni mogą dużo zdziałać. Należy jednak zapytać, gdzie są organizacje istniejące na wsi, które winny zająć się organizacją życia kulturalno-oświatowego w klubach nawet w sezonie letnim? Co robi aktyw kulturalno-oświatowy w miastach powiatowych?"*

Nie jestem pewny, czy wszystkie te pytania zostały dobrze postawione i właściwie zaadresowane. W każdym razie nie są to pytania retoryczne i odnoszą się do sytuacji nie tylko w powiecie zambrowskim. Dlatego warto się nad nimi zastanowić.

Nowy sezon kulturalno-oświatowy zacznie się natomiast pod znakiem kongresu kultury polskiej i z tej okazji dokonuje się podsumowania dokonań, wysuwa się też postulaty, ujawnia nie zaspokojone jeszcze potrzeby. W **„MAGAZYNIE NIEDZIELNYM" „Słowa Ludu"** **Stanisław Król** prowadzi medytacje **„O literaturze regionalnej"**.

Autor przypomina, że jeszcze niedawno pisano w Kielcach o *„głuszy wydawniczej"* i obecna sytuacja tego określenia nie zaprzecza. Niedostatek wydawnictw zaznacza się szczególnie w zakresie wydawnictw turystyczno - krajoznawczych. Zamiast zajmować w kraju jedno z czołowych miejsc Kielecczyzna posiada dorobek bardzo skromny. Król wysuwa szereg słusznych postulatów — pisze o gotowych publikacjach, które spoczywają po szufladach, nie mogąc dotrzeć do czytelnika. Rzecz znowu kończy się pytaniem: *„Może już w niedalekiej przyszłości w planach wydawniczych wydawców sprawy Kielecczyzny będą odpowiednio reprezentowane, a księgarnie nasze tak zaopatrzone w bogaty wybór pozycji regionalnych, że księgarz za ladą nie będzie musiał się rumienić, gdy klient zażąda informatora o Kielcach, albumu o Żeromskim, czy przewodnika po województwie kieleckim?".*

My też wiemy coś na ten temat. Jeżeli autor artykułu odwiedzi kiedyś Lubelszczyznę i zapyta o przewodnik po lubelskim województwie, Lublinie, Nałęczowie czy Puławach, to go na pewno otrzyma. W Wojewódzkiej Bibliotece im. H. Łopacińskiego. Bo w księgarniach czegoś takiego nie ma.

W tym samym piśmie **Czesław Kussel** zajmuje się ginącym, choć tak jeszcze bogatym folklorem w artykule **„Kielecczyzna czeka na współczesnego Kolberga"**. Prawdę mówiąc, to Kolbergów było już sporo, problem dotyczy przede wszystkim popularyzacji sztuki i pieśni ludowej. Autorzy regionalnych audycji otrzymują wiele pytań i próśb o przysłanie płyt z muzyką ludową, ale tego rodzaju rzeczy nikt nie wydał, brak też śpiewników regionalnych. I tu pytanie nowe:

„Kto powinien zająć się tymi sprawami? Oczywiście ludzie kompetentni, odpowiednio przygotowani, mający do swojej dyspozycji wszystkie zgromadzone dotychczas materiały i zapisy. Jedno jest pewne, że na zbiór piosenek ludowych, na płyty i pocztówki grające czekają nie tylko turyści, ale rzesze działaczy społecznych, kierujących ruchem amatorskim w naszym województwie."

W rzeszowskim **„WIDNOKRĘGU"**, dodatku **„NOWIN RZESZOWSKICH" Zdzisław Kozioł** w artykule **„Uchronić przed zagładą"** podejmuje sprawę pozornie marginalną, ale istotną dla zachowania właściwego oblicza naszego kraju. Chodzi o parki podworskie, które nie tylko ucierpiały wskutek wojny, ale także przez wiele lat powojennych były przedmiotem dewastacji. Np. w województwie rzeszowskim jest takich parków około 340, a więc liczba bardzo pokaźna. Oto Medyka, dawna siedziba Pawlikowskich. Niedawno w tamtejszym parku odsłonięto tablicę poświęconą Janowi Gwalbertowi Pawlikowskiemu, który m. in. był działaczem ochrony przyrody. Jak na ironię: *„Przybyli na uroczystość odsłonięcia tablicy musieli forsować zarastające park zielska i chwasty. Teraz są już ścieżki, zrobiła je młodzież szkolna, ale bezmyślne przez lata używanie parku pozostawiło aż nazbyt widoczne ślady. Wypasano bydło, składano obornik, wapno i nawozy sztuczne. Jeżdżące po parku traktory dodatkowo niszczyły unikalne okazy drzew i krzewów, w tym południowoamerykańskich, chińskich, japońskich, a także naszych — rodzimych."*

Niepokojąco przedstawia się też sytuacja parku wokół renesansowego zamku w Krasieninie, parku, który przedstawia wartość wyjątkową. Jeśli tak rzecz się ma z miejscami bardziej reprezentacyjnymi, to cóż mówić, o obiektach mniejszych? A jest to problem o skali krajowej i alarm podniesiony przez autora powinien być przez czynniki zainteresowane usłyszany. Dotyczy wszak marnowania naszego wspólnego dobra.

T. K.

11–18 września – DNI MAJDANKA

CYKLON B

W ROZBITYM aucie niemieckim, które na Nowej Drodze zakończyło niefortunną ucieczkę przed wyzwoleńczą ofensywą wojsk radzieckich i polskich, wśród innych dokumentów znaleziono papierową teczkę, zawierającą korespondencję w sprawie dostawy do obozu koncentracyjnego na Majdanku cyklonu B.

Preparat ten, przez wiele lat znany i stosowany jako skuteczny środek owadobójczy, w czasie ostatniej wojny używany był powszechnie w hitlerowskch obozach koncentracyjnych i niektórych obozach zagładydo eksterminacji więźniów w specjalnych komorach.

Cyklon B składa się z kamyczków ziemi okrzemkowej wielkości około 1 cm sześc., nasyconych ciekłym cjanowodorem (HCN) z dodatkiem stabilizatora. Po otwarcu metalowej puszki z seledynowych grudek wyzwala się silnie trujący gaz, bezbarwny, o zapachu gorzkich migdałów. Dla uśmiercenia czowieka wystarczy zaledwie 0,06 g HCN. Oddychanie powietrzem o zawartości 1 proc. tego gazu zabija natychmast, zaś w przypadku mniejszej dozy śmierć poprzedzają straszliwe męczarnie, podrażnienie błon śluzowych i dróg oddechowych, ślinotok, ból głowy, szum w uszach, torsje, duszność i drgawki.

Działanie cyklonu B jako środka masowej zagłady zostało wypróbowane w Oświęcimiu jesienią 1941 roku na grupie jeńców radzieckich. Doświadczenia oświęcimskie w tym zakresie Eichmann polecił wykorzystać w innych obozach.

W teczce ze wspomnianą na początku korespondencją znajdowały się m. in. pisma reklamowe Międzynarodowego Towarzystwa do Zwalczania Szkodników(Tesch und Stabenow, Internationale Gesellschaft für Schädlingsbekämpfung) zwanego w skrócie Testa, które cyklon B dostarczało do wszystkich obozów, kopie zamówień na gaz oraz liczne potwierdzenia odbioru.

Zamówienia na puszki z gazem wychodziły z obozu w ciągu całego okresu jego istnienia.

Możliwością sprowadzania cyklonu B komendantura obozu zainteresowała się już w grudniu 1941 roku. Pierwsze zamówienie na gaz w ilości 6 000 puszek à 1,5 kg nosi datę 25 lipca 1942 roku. Potem, w miarę potrzeby, oddział administracyjno-gospodarczy obozu systematycznie zamawia dalsze partie. Jeszcze 3 lipca 1944 roku wystosowano z Majdanka prośbę o dostarczenie 500 puszek cyklonu B.

Od połowy 1943 roku firma Testa nie była w stanie realizować w pełni wszystkich zamówień. Wynikało to zarówno z olbrzymiego zapotrzebowania na ów trujący preparat jak i trudności komunikacyjnych, spowodowanych przeciążeniem kolei przez wojsko. Na skutek ograniczeń i opóźnień w dostawach, z obozu płynęły liczne ponaglenia i prośby.

Zachowane akta zawierają potwierdzenia, iż dla lubelskiego obozu koncentracyjnego dostarczono 7 711 kg cyklonu. Nie jest to prawdopodobnie ilość zgodna z rzeczywistością, ponieważ na podstawie analizy dokumentów można stwierdzić, że omawiana korespondencja zawiera poważne luki.

Ze względów ekonomicznych puste puszki i zużyte kamyczki ziemi okrzemkowej odsyłano ponownie do producenta.

We wszystkich obozach eksterminacja więźniów była otaczana ścisłą tajemnicą. Informując się o urządzeniach masowej zagłady czy egzekucjach, hitlerowcy posługiwali się kryptonimami. Podobnie było i w tym wypadku. W całej korespondencji nie ma ani jednej wzmianki o właściwym przeznaczeniu gazu, tj. zamiarze użycia go do uśmiercania ludzi.

Sprowadzanie cyklonu władze obozowe motywowały zazwyczaj koniecznością dezynfekcji. Ponadto na zamówieniach spotyka się czasem adnotacje Sonderbestellung (zamówienie specjalne).

SS-mani opuszczający w popłochu Lublin nie zdążyli zniszczyć lub wywieźć nie tylko korespondencji. Po wyzwoleniu w obozie koncentracyjnym na Majdanku znaleziono ponad 1000 puszek wypełnionych cyklonem B, z których każda zawierała 1000, 1200 lub 1500 g seledynowych kamyczków nasyconych trucizną. Pozostały także wszystkie urządzenia, w których gaz ów był używany, a mianowicie siedem komór gazowych.

Pierwsze dwie komory, nieco prymitywne, zostały zbudowane w 1942 roku między dwoma tzw. polami więźniarskimi. Wzniesiono je z desek, zachodzących jedna na drugą, wewnątrz zaś otynkowano. Drzwi do niej wiodące, również drewniane, posiadają 15 cm grubości.

Następna komora, także nosząca cechy prowizorki, stanęła obok łaźni, z którą bezpośrednio połączona była hermetycznie zamykającymi się drzwiami. Cyklon B wsypywano tu z zewnątrz przez dwa duże, kwadratowe otwory, umieszczone w wysokim stropie. Otwory zamykały się na szczelne klapy.

ADELA TONIAK
ZOFIA MURAWSKA

Trzy dalsze komory gazowe zbudowano również obok budynku łaźni. Sąsiedztwo to miało na celu wprowadzanie w błąd przyszłych ofiar, które nie przypuszczały, że kąpie się je bezpośrednio przed śmiercią. Uspokoić je psychicznie miały także umieszczone przy wejściu do łaźni tablice z napisem „Bad und Desinfektion". Komory te, niższe i mniejsze od poprzednich, zapewniały szybsze działanie gazu. Ściany ich wzniesiono z cegły ceramicznej, stropy zaś z żelbetonu. Ciężkie, żelazne drzwi z wziernikami, zamykane hermetycznie, zostały wykonane przez berlińską firmę Auert.

Pierwsza z tych komór o wymiarach 5×3, 5×2 m przystosowana była do użycia cyklonu B, wsypywanego przez niewielki otwór w suficie, oraz sprężonego tlenku węgla (CO), wprowadzanego z butli przez stalowe rury biegnące wzdłuż komory. Pod spodem rur, w 30 centymetrowych odstępach, były niewielkie otworki. Wloty rur, do których podłączano butle z tlenkiem węgla, znajdowały się po zewnętrznej stronie ściany komory, w kabinie SS-mana. Kabina ta posiadała oświetlenie oraz niewielkie oszklone i okratowane okienko. Urządzenia te pozwalały obserwować wnętrze w czasie gazowania i niezawodnie ustalać, kiedy ostatni więzień przestał dawać oznaki życia. Było to szczególnie ważne wówczas, gdy na weiście do komory czekały następne grupy jeńców.

Kolejna komora (10×3,5×2 m) posiadała tylko urządzenia, pozwalające stosować tlenek węgla. Jak wykazały jednak badania tynków, był tu często używany także cyklon B. Ponieważ nie było tu wrzutników w stropie, należy przypuszczać, że wsypywano go przez drzwi lub po prostu stawiano na podłodze otwarte puszki.

Trzecia komora z tego cyklu (5×3,5×2 m) przystosowana była do używania w niej tylko cyklonu B.

Ostatnia komora gazowa na Majdanku została zbudowana pod koniec 1943 roku w sąsiedztwie dużego krematorium. Można w niej było używać wyłącznie cyklon B.

Istnienie komór gazowych i uśmiercanie w nich więźniów otoczone było ścisłą tajemnicą. Więźniowie pracujący przy wynoszeniu i przewożeniu zwłok z komór oraz paleniu ich w piecach krematoryjnych (tzw. Sonderkommando) byli w obozie starannie izolowani, a za cenę „dopuszczenia do tajemnicy" płacili życiem. Co pewien czas SS-mani mordowali ich, pozbywając się w ten sposób niepotrzebnych świadków.

Trudno było jednak ukryć przed oczyma więźniów ten zbrodniczy proceder, skoro niemal każdy nowo przybyły transport poddawany był szczegółowej selekcji, podczas której wybierano osoby chore, stare, a niejednokrotnie także dzieci, następnie zaś wprowadzano je do łaźni i odtąd wszelki ślad po nich ginął. Pozostawała jedynie odzież i obuwie.

Podobne koleje losu spotykały najciężej chorych więźniów, leżących w szpitalu obozowym, gdzie lekarz — SS-mann systematycznie, raz w tygodniu, przeprowadzał selekcje, oraz więźniów z tzw. Gamelbloków. Gamlami nazywano na Majdanku osoby, cierpiące na typową chorobę obozową, która objawiała się kompletnym wyczerpaniem, wychudzeniem, utratą sił oraz całkowitą apatią.

Śmierć w komorach gazowych czekała wszystkie dzieci, jakie się aktualnie znajdowały w obozie. Matkom, które przewidywały ich los, wyrywano je z rąk przemocą i wrzucano na samochody ciężarowe jak martwe przedmioty. Mimo zapewnień nadzorczyń pełniących straż na polu kobiecym, że dzieciom nie grozi nic złego, ponieważ zostaną one przekazane pod opiekę Polskiego Czerwonego Krzyża, samochód prawie nigdy nie opuszczał terenu obozu. Zatrzymywał się przy budynku łaźni i „Dezynfekcji", a po kilku godzinach więźniarki zatrudnione w pralni otrzymywały do prania odzież dziecięcą.

W 1943 roku o istnieniu komór gazowych na Majdanku i w innych obozach wiedzieli już nie tylko więźniowie, ale także szerokie rzesze społeczeństwa. Jeden z b. więźniów Jerzy Pfefer wspomina, że jego pięcioletni synek, prowadzony z rodzicami na Majdanek, zapytał go rzeczowo: „Tatusiu czy nas rozstrzelają, czy zagazują?". W czasie wstępnej selekcji chłopczyk znalazł się w grupie przeznaczonej na śmierć w komorze. Los jego dobrowolnie podzieliła matka.

Cyklon B w lubelskim obozie koncentracyjnym był najczęściej stosowanym choć nie jedynym środkiem, przy którego pomocy realizowano plany eksterminacji. Na Majdanku odbywały się również masowe egzekucje przez rozstrzelanie: jednorazowo ginęło po kilkaset, a nawet kilka tysięcy osób, wieszano całe grupy więźniów. Z całą pewnością można jednak stwierdzić, że cjanowodór ułatniający się w komorach z drobnych kamyczków ziemi okrzemkowej, spowodował śmierć największej liczby więźniów.

Fot. Archiwum

SAMOOBRONA

ZBIGNIEW BRZOZOWSKI

OBÓZ na Majdanku był szczególnym obiektem zainteresowania całej społeczności konspiracyjnej. Za jego drutami znajdowało się wielu wybitnych członków partii i organizacji podziemnych. Stąd między innymi ustawiczne dążenie do pełnego rozpoznania obozu i warunków tam panujących. Celem tych wysiłków było przede wszystkim udzielanie więźniom pomocy materialnej, moralnej, a także ewentualna pomoc w ucieczkach czy odbiciu z obozu.

Zachowane źródła i materiały wskazują, jak wielką uwagę przykładano do tego zagadnienia, a pomoc udzielana różnymi drogami w wielu wypadkach pozwoliła na przetrwanie uwięzionym.

W obrębie Delegatury Rządu na Kraj sprawami więzień i obozów zajmowały się głównie dwie komórki: *Międzyorganizacyjne Porozumienie Więzienne"* oraz *„Komórka Więzienna"*. Pierwsza z nich stanowiła jak gdyby komitet społeczny złożony z przedstawicieli partii politycznych i organizacji konspiracyjnych wchodzących w skład Delegatury. Głównym zadaniem Porozumienia była koordynacja w zakresie wszelkich form pomocy udzielanej przez te organizacje uwięzionym. Porozumienie działało głównie w oparciu o tzw. koła terenowe.

Natomiast Komórka Więzienna stanowiła odrębną placówkę. W przeciwieństwie do Porozumienia zadaniem jej było w zasadzie prowadzenie systematycznego rozpoznania więzień i obozów, zbieranie danych o załogach niemieckich, o zamordowanych, warunkach bytowania więźniów itp.

Obie te komórki nie stanowiły jedynych źródeł informacji w tych sprawach. Wiedza o Majdanku i popełnianych tam zbrodniach płynęła i innymi kanałami (wywiad poszczególnych organizacji, grupy robotników polskich zatrudnianych za drutami obozu, grypsy itp.).

Osobną rolę w przypadku obozu na Majdanku odegrała komórka Centralnej Opieki Podziemia znana w okresie okupacji pod kryptonimem „Opus". „Opus" utworzony został jesienią 1941 roku w ramach sztabu Komendy Okręgu Armii Krajowej. Jakkolwiek jej powołanie związane było z koniecznością udzielania pomocy aresztowanym i więzionym członkom organizacji, to jednak w praktyce niosła ją ona wszystkim potrzebującym. Jako komórka podziemnej organizacji, zarówno w udzielaniu pomocy, a także zdobywaniu wiedzy o obozie, „Opus" korzystał z pośrednictwa legalnych organizacji charytatywnych takich jak Polski Czerwony Krzyż i Rada Główna Opiekuńcza.

(Dokończenie na str. 11)

POMOC

EDWARD GRYŃ

OBCHODY tradycyjnych już Dni Majdanka są najlepszą okazją do przypomnienia społeczeństwu polskiemu jednego z tragicznych rozdziałów jego historii. Rozdział ten zawiera nie tylko dzieje martyrologii i cierpienia ludzkiego, ale także wypadki heroizmu oraz bezgranicznego poświęcenia się.

Niewątpliwie w historii okupacji na Lubelszczyźnie najpiękniejszymi zgłoskami zapisał się ogromny wysiłek społeczeństwa w niesieniu pomocy więźniom Majdanka i innych kaźni hitlerowskich.

W przypadku Majdanka pierwszy kontakt z obozem nawiązali robotnicy zatrudnieni w firmach prywatnych, wykonujących różne prace przy budowie obozu. Okoliczność tę wykorzystały polskie organizacje konspiracyjne, a także wiele indywidualnych osób, głównie rodzin więźniów. Chcąc ulżyć doli więźniów władze Polskiego Czerwonego Krzyża i Rady Głównej Opiekuńczej zdwoiły wysiłki, zmierzające do uzyskania zgody władz okupacyjnych na oficjalną pomoc. Starania te prowadzone były różnymi drogami, często nawet nielegalnie. Należy przy tym podkreślić, że wymagały one dużego ryzyka, gdyż wzbudzały podejrzenia gestapo.

Zabiegi te zostały jednak wreszcie uwieńczone sukcesem. 27 lutego 1943 roku ówczesny komendant obozu SS-Sturmbanführer H. Florstedt wyraził zgodę na przesyłanie więźniom paczek żywnościowych i leków oraz podał warunki, na jakich można je doręczać. Równocześnie oświadczył, że pomocą tą mogą być objęci jedynie Polacy.

Oficjalna zgoda komendanta pozwoliła na szerokie rozwinięcie akcji dożywiania więźniów. Wcześniej należało czynić starania dosłownie o każdą przesyłkę lub korzystać z nielegalnych kanałów, co łączyło się z dużym niebezpieczeństwem.

Poza Majdankiem akcja obejmowała wszystkie obozy i więzienia. Jak wynika z akt Polskiego Czerwonego Krzyża, Rady Głównej Opiekuńczej oraz grypsów, zorganizowano ją niemal natychmiast po zakończeniu działań wojennych. Pierwsze paczki z żywnością i odzieżą adresowane były przede wszystkim do obozów jeńców wojennych na Lubelszczyźnie: w Chełmie, Poniatowej i Dęblinie, a ponadto do oflagów i stalagów w Rzeszy.

Ze sprawozdania Okręgu PCK w Lublinie za rok 1941 wynika, że do obozów tych w ciągu jednego roku wysyłano: 35 217 sztuk paczek żywnościowych o łącznej wadze 22 095 kg oraz 75 paczek odzieżowych.

W tym samym okresie czasu dla więźniów na Zamku Lubelskim wysłano 3 462 paczki żywnościowe i odzieżowe.

Imponujące są zestawienia obejmujące pomoc udzieloną więźniom Majdanka. Zgodnie ze sprawozdaniem Lubelskiego Oddziału PCK, od 1942 r. do lipca 1944 r. do obozu na Majdanku wysłano: 105 629 sztuk paczek żywnościowych o łącznej wadze 512 545 kg, 51 800 kg produktów żywnościowych, z których przygotowano 249 431 gorących porcji żwykłych i dietetycznych, 1 615 kg pieczywa pszennego i żytniego niezależnie od pieczywa przesyłanego w paczkach, 80 wozów słomy do sienników i na nary, 53 652 sztuki kart pocztowych, stanowiących pokwitowania za paczki, 147 paczek odzieżowych.

Niewielką stosunkowo liczbę paczek odzieżowych należy tłumaczyć tym, że mimo formalnej zgody, komendantura obozu z przyjmowaniem ich czyniła wielkie trudności.

Wysiłki PCK zmierzały również do poprawy potwornego stanu zdrowotnego i sanitarnego na Majdanku. Przesłany sprzęt medyczny pozwolił urządzić oraz najniezbędniej wyposażyć dwa szpitale (męski i kobiecy). Ponadto przekazano 90 skrzyń lekarstw i środków opatrunkowych.

Podobną akcję niesienia pomocy więźniom Majdanka rozwinął Polski Komitet Opiekuńczy działający pod egidą RGO. Według niepełnych danych, w 1943 roku z tego źródła obóz otrzymał: 123 892 kg chleba, 6 300 kg grochu, 5 900 kg płatków owsianych, 2 100 kg pęcaku, 3 500 kg fasoli, 200 kg marmolady, 50 kg oleju rzepakowego, 434 kg pieczywa pszennego dla chorych oraz tysiące porcji pożywnych zup dla chorych, leki i 3 500 paczek świątecznych na gwiazdkę.

Przytoczone liczby są imponujące, trzeba jednak pamiętać, że w okresie tym stan więźniów w obozie wynosił dziesiątki tysięcy osób, a więc pomoc ta tylko w pewnym stopniu łagodziła skutki głodu panującego w obozie. Poza tym do końca istnienia obozu nie wydano zezwolenia na jakąkolwiek pomoc dla więźniów obywateli wszystkich państw okupowanej Europy.

Poza PCK i RGO wysyłką paczek żywnościowych i leków zajmowały się również indywidualne osoby, nie związane z tymi organizacjami.

Do pracy przy gromadzeniu żywności, a następnie przygotowaniu jej do wysyłki angażowały się całe rodziny. Tak było m. in. w domu pani Antoniny Grygowej, tak działo się u pani Saturniny Malmowej i wielu innych mieszkańców Lublina.

Marian Lipecki, sam zwolniony z obozu 21 stycznia 1944 r., już nazajutrz rozpoczął wysyłkę paczek dla współtowarzyszy niedoli.

Fakt, że na Majdanku zdecydowaną przewagę liczebną mieli więźniowie polityczni sprawił, iż paczki trafiały we właściwe ręce i były potem sprawiedliwie rozdzielane. Bardzo często szczęśliwi adresaci dobrowolnie zrzekali się przesyłek na rzecz np. nowo przybyłych transportów, ciężko chorych czy dzieci.

Żywność i leki dostarczane do obozów i więzień pochodziły wyłącznie z ofiar społeczeństwa. Wielu gię u działaczy i pracowników PCK i RGO. Za ten wysiłek i bezgraniczne oddanie się sprawie należą się im najwyższe słowa uznania.

mieszkańców Lubelszczyzny mimo niedostatku, jaki powszechnie panował w ciężkich dniach okupacji, często wyrzekało się dosłownie ostatniego kawałka chleba, by mógł go otrzymać nieznany więzień.

Starano się spełniać możliwie każdą prośbę przesłaną zza kolczastych drutów, bowiem wiedziano, że nagrodą za to będzie prawdopodobnie czyjeś uratowane życie.

Świadomość tego faktu wyzwalała niespożytą energię z Zamojszczyzny.

POEZJA BUŁGARSKA

piosenki, należy do pereł utworów Chanczewa.

Wielkie wrażenie na czytelniku bułgarskim wywarł poemat Walerego Petrowa „W łagodną jesień" wyróżniony również Nagrodą Dymitrowska. Wiersz u Petrowa wydaje się być normalnym sposobem wypowiadania myśli. Uderza szczerość wypowiedzi. Poeta rozmawia ze sobą i zadaje swoim dawnym towarzyszom broni dręczące pytania. Czemu ten, który nie drgnął przed lufa wroga, dziś drży słysząc głos jakiegoś urzędnika? Rozmyślania o latach z okresu kultu jednostki dzięki ciepłemu i serdecznemu tonowi, optymizmowi i wierze w nieuniknione zwycięstwo dobra powodują, że poemat „W łagodną jesień" stanowi jeden z ważniejszych etapów poezji bułgarskiej po obaleniu rodzimego faszyzmu.

Penio Penew, tragicznie zmarły w 1959 r., jest „poetą budowy", jak przed nim Nikoła Wapcarow był „poetą maszyn". Imię Penio Penewa łączy się z budową Dymitrowogradu, miasta wzniesionego rękami młodzieży. Wiersze swoje poeta tworzył dosłownie na rusztowaniach. Budowniczy fabryk i zbiorników wodnych w czasie swego krótkiego lecz dynamicznego życia, ciężka prace fizyczna łączył z radością tworzenia, entuzjastycznie nawołując ku lepszemu jutru. W ciągu niewielu lat, niestety już po śmierci, Penio Panew osiągnął niebywałą popularność, zwłaszcza wśród młodzieży. Świadczy o tym pięciokrotne drukowanie jego dzieła w coraz to pełniejszych i zewnętrznie piękniejszych wydaniach. Dwa ostatnie wyszły razem z magnetofonowym zapisem głosu samego poety recytującego swoje utwory. Nakłady po kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzy zostały wyczerpane niemal w ciągu jednego dnia.

W ostatnich latach pojawiły się nowe utwory poetów starszego pokolenia, których twórczość jest znana czytelnikom bułgarskim niemal od pół wieku. Niespodzianką było jakby ponowne przebudzenie się ich osobowości twórczej, przepojonej świeżą siłą drugiej młodości

Zbiór wierszy Elisawety Bagriany „Od brzegu do brzegu" uderza równowagą, mądrością, dążeniem do nadania filozoficznego sensu przeżyciu. Jest to zbiór wspomnień i rozważań. W wierszu „Poranek w Sliwen" poetka, wspominając miasto, jednocześnie sama czuje się młoda nową młodością swego rozkwitłego miasta.

W zbiorku pt. „Nowe wiersze" poetka Dora Gabe, która przez wiele lat pisała tylko dla dzieci, dała dorosłym czytelnikom najpiękniejsze utwory, jakie dotychczas wyszły spod jej pióra. Świeży, żywy język, wzruszająca szczerość wypowiedzi, czystość wewnętrznego świata — oto co wybija się w wierszach tej poetki. Dalszym ciągiem tych pereł poezji bułgarskiej jest cykl drukowany w książce miesięcznika „Wrzesień" (styczeń 1965 r.).

Z pisarzy starszego pokolenia należy wymienić Nikołę Furnadżijewa z jego zbiorkiem „Najtrudniejsze", gdzie poeta mówi w prosty sposób o wielkich i trudnych prawdach i gdzie głosi: najtrudniejsze jest to, aby dzieło twórcy było aktualne także dla przyszłych pokoleń. Z innych starszych poetów na uwagę zasługują: Nikołaj Marangozow ze swym poematem „Zachód i wschód w Bałkanie" (ciąg dalszy poprzednio wydanego poematu „Powrót na wieś", najsłynniejszego dzieła poety), Łamar (pseudonim Łalio Marinowa) ze zbiorem „Dąb pod niebem", Mładen Isajew ze zbiorami „Zielone drzewo" i „Ballady rewolucyjne" oraz Iwan Burin z książką „Za twoim głosem matko!".

Niektórzy z poetów średniego pokolenia, budujący pierwszymi zbiorami wiele nadziei „zdradzili" potem poezję dla dramatu, kina lub prozy. Wśród nich należy wymienić Georgi Dżagarowa (słynna sztuka „Prokurator"), Iwana Radojewa, Klimenta Caczewa, Lilianę Stefanową, Dobri Żotewa i Dawida Owadiję.

Interesujący jest rozwój poezji Pawła Matewa, który punkt kulminacyjny osiąga swym ostatnim zbiorem „Mewy odpoczywają na falach" (1965). Dominującą cechą jest tu niepokój, lęk duszy, myśli, miłości, przepojenie ziemskimi wzruszeniami, rozmyślania o ojczyźnie i ideałach ogólnoludzkich troska o nasze i przyszłe czasy. Zbiór wierszy Dymitra Metodiewa „O czasie i o sobie" ukazał się w dwu wydaniach i zdobył Nagrodę Dymitrowską na rok 1964.

Jak scharakteryzować twórczość poetów słusznie czy też siłą inercji nazywanych dotąd młodymi? Oni przecież stanowią awangardę i dumę bułgarskiej myśli twórczej. Ich liryczny bohater jest spadkobiercą rewolucyjnych porywów przodków, a jednocześnie poszukiwaczem i odkrywcą nowych prawd, patriotą, człowiekiem o nowoczesnym światopoglądzie. Niezależnie od różnorodności talentów i osobowości łączy ich usilne dążenie do oderwania się od małostkowości i skierowanie się ku szerszym uogólnieniom.

Oto kilka najnowszych tytułów „Udział" i „Warstwy życia" Petara Karaangowa, który głosi miłość do pejzaży małego miasta, do zwykłych ludzi pracy. Poeta maluje historyczne postacie swych wielkich przodków ukazując nierzadko obrazy Polski, którą dość często odwiedza.

„Podróż ku uśmiechowi" i „Czas idący na przeciw" to dwa ostatnie zbiorki Parwana Stefanowa, znakomitego tłumacza Tuwima i Galczyńskiego. Poety ukazującego sens „wiecznej walki między prawdą a nieprawdą, między nowym a starym, między postępowym a konserwatywnym"; poety, który w pierwszym z wymienionych zbiorków w cyklu „Miasto o ślubnym pierścieniu" dał wzruszający i przecudny obraz Krakowa z pierścieniem Plantów wokoło; poety, który w „Czasie idącym..." głosi potrzebę wiary w siebie i potrzebę odkrycia na nowo w erze jazzu i niepewności — rzeczy prostych, subtelnych, wielkich czystością i pięknem.

„Lecz zanim się zestarzeję" i „Stronniczość" Lubomira Lewczewa cechują się taką oryginalnością i odkrywczością, iż nie mogły nie wywołać w czytelniku i krytyce wielu sporów i dyskusji. Dotyczy to zwłaszcza „Poematu inteligencji"

Z innych zbiorków należy wymienić „Ściany" i „Przed ołtarzem słońca" Damiana P. Damianowa, Baszewa „Kroniki" Stefana Canewa (wiersze o akcentach muzycznych), „Lirykę" Christo Fotewa, poety z Burgasu, satyryczny zbiór „Wiersze" Konstantina Pawłowa (satyry te wywołały wiele sprzecznych zdań w krytyce bułgarskiej) a także „Słone wiatry" Wani Petkowej, która swym pierwszym tomikiem od razu podbiła czytelnika i której krytyka wróży wielką przyszłość.

Oczywiście w ramach jednego artykułu nie da się odtworzyć twórczości ogromnej liczby poetów zwłaszcza młodszego pokolenia. Ale też celem moim było jedynie pokazać ogólne tendencje rozwoju współczesnej poezji bułgarskiej. Poeci tego okresu zrozumieli bezspornie potrzebę wejścia w istotę wydarzeń historycznych i atmosferę swego czasu. Pojęli konieczność odzwierciedlenia życia swego narodu wraz z jego konfliktami i sprzecznościami. Talent pozwolił im nakreślić sylwetkę pozytywnego bohatera ich własnej, burzliwej, a jednocześnie jakże ciekawej epoki.

Iwan Sarandew

(opr. T. Ross)

CHRISTO BOTEW

Christo Botew urodził się w 1848 r. w Kałofer. Jest to największy poeta rewolucyjny Bułgarii. W latach 1863—1866 studiuje w Odessie. Tam poznaje ruch rewolucyjny rosyjski. Wydalony z gimnazjum za poglądy rewolucyjne, wraca do Bułgarii, ale potem, nie mogąc żyć w niewoli tureckiej, wyjeżdża do Rumunii. Zostaje tu emigracyjnym wodzem rewolucyjnej partii Bułgarii. Jest wybitnym publicystą i dziennikarzem. Nawołuje do walki z Turkami, krytykuje fałszywą dyplomację państw europejskich. W 1876 r wybucha powstanie i Botew staje na czele oddziału, który zagarnia statek austriacki „Radecki", przepływając na nim Dunaj. W bitwie z Turkami w Starej Górze ginie śmiercią bohaterską o wolność Ojczyzny.

Poezję Botewa zna każdy Bułgar. Ona krzepiła w czasach ucisku i do dziś jest symbolem wolności. Przesycona jest optymizmem i wiarą w zwycięstwo polityczne i społeczne!

Dział

Uczucia nas bratnie złączyły
i myśl się jednaka w nas chowa,
i wierzę, że nikt z nas niczego
nie będzie w tym świecie żałować.

Czy dobro czy złośmy czynili,
potomni osądzą nas sami;
a dzisiaj — niech dłoń będzie w dłoni
i naprzód twardymi krokami!

Nam w życiu był ból towarzyszem,
i nędza i los w obcej ziemi,
lecz myśmy je bratnio dzielili
i nadal je dzielić będziemy...

Będziemy dzielili wyrzuty,
i drwiny zniesiemy głupawe,
zniesiemy, lecz jęk nas nie splami,
gdy cierpieć nam przyjdzie za sprawę.

I głowy nam zgiąć nie potrafi
ni ból ani bożyszcz mdły miraż:
swe serceśmy już wyśpiewali
w tych naszych żałosnych dwu lirach...

Dziś naprzód z uczuciem i myślą,
ostatni dział dzieł jak kęs chleba:
by spełnić najświętsze posłanie —
na śmierć, na śmierć, bracie, nam trzeba!

Wiersz był zasadniczo poświęcony Lubenowi Karawełowowi, z którym potem Botew się pokłócił na tle metod walki politycznej: Karawełow był za sfederalizowaniem kulturalnym narodów bałkańskich podbitych przez Turków, a potem za uderzeniem zbrojnym, natomiast Botew chciał uderzyć zbrojnie, a potem złączyć narody bałkańskie w jedną federację.

DORA GABE

Dora Gabe urodziła się w mieście Dobricz (obecnie Tolbuchin) w 1885 r. Wyższe studia kończyła w Grenoble i w Genewie. Była żoną profesora Bojana Penewa. Jest obecnie prezesem Bułgarskiego PEN-Klubu. Bywała w Polsce (była attaché kulturalnym) i zna doskonale polski. Tłumaczyła „Hymny" Kasprowicza i „Anhellego" Słowackiego. Opracowała pierwszą antologię „Poezi polscy". Obecnie bierze udział w redakcji nowej antologii współczesnej poezji polskiej (wraz z Piotrem Karaangowem). Obecne jej wiersze ukazują ją jako mistrzynię liryki osobistej, a forma jej wierszy jest na wskroś nowoczesna.

Wydała: „Płotki" (1908), „Ziemska droga" (1928), „Lunatyczka" (1936), „Wela" (partyzancki poemat, 1946), „Czas niespokojny" (1957), „Utwory wybrane" (1958), „Nowe wiersze" (1963).

Poezja

Tyś mię oswobodziła
od męki samotności,
gdy nuda
mózg mój zżarła,
a gorycz złej zazdrości
pod język się wcisnęła,
kiedy paznokcie wola wbiła
w dłonie,
a serce umęczone
w mej piersi przyczaiło się tajemnie
i tylko puls na mojej skroni
zdradzał rytm życia we mnie...

Dziś tyś mi darowała
i ziemię i ludzi,
ty przybliżyłaś niebo,
gwiazdy,
i tyś sprawiła, żem jest częścią ich,
ty przyspieszyłaś krok mój
i wróciłaś młodość,
ty nauczyłaś mnie, bym nie wierzyła
w swój obraz w lustrze
ze zmarszczkami czasu,
z korą starzejącego się
dębu...

Ty życie w krew mą wlałaś
i żyję raz wtóry!
Ty milion oczu mi dałaś,
bym i przez lodową ścianę
w sercu człowieka
ukrytą iskrę ujrzała,
ducha jego, który się nie stlił
na proch.
Ty ocaliłaś mię od sądów szybkich
nad niewinnym,
bym nie stanęła od grzechu
o krok.

Obym mogła jak ty
stać się pieśnią,
z siebie samej zrodzoną jak skra,
obyś mogła zawsze być dla mnie
początkiem mojego dnia!

CHRISTO FOTEW

Christo Fotew urodził się w Stambule (Turcja) w 1934 roku. Mieszka w Burgas. Zdolny i utalentowany, pisuje do wszystkich pism literackich Sofii oraz na wybrzeżu, gdzie mieszka. Wydał tomik: „Balladyczna podróż" (1961).

Mała ballada o dziewczynie i morzu

Tylko żywych kocha morze sine,
a wyrzuca na brzeg martwe ciało.
Ale jednej, ach, jednej dziewczyny
morze na brzeg wyrzucić nie chciało.
Tylko chustka została jej znana,
która w falach przelewa się białych.
Marynarza kochała dziewczyna,
jego wszystkie piękności kochały.
I na falach fioletem, czerwienią
frędzle chustki się tylko jawiły.
My płakaliśmy cicho, wzruszeni,
i do zimnejśmy wody skoczyli...
Próżno morza dno zryliśmy bure,
w piasek palce wpijając zsiniałe,
by odnaleźć dziewczynę tę, której
morze na brzeg wyrzucić nie chciało.

STEFAN CANEW

Stefan Canew urodził się w 1936 r. we wsi Czerwena Woda w okręgu Ruse. Ukończył filozofię w Sofii. Studiował też prawo i pisał w piśmie „Młodzież Ludowa". Pierwszy jego tomik „Godziny" (1960) zdobył mu wielki sukces. Ma zacięcie w kierunku dramaturgii i satyry. Pisuje do wszystkich większych pism Bułgarii. Jest wielce obiecującym poetą.

* * *

Gdybym się z podłymi ludźmi nie starł —
dobrych
nie mógłbym ocenić.
Gdyby nie było mroku — o świetle
nie mogłibyśmy
mieć pojęcia.

Od wrogów moich,
od podleców,
od zawziętych głupców roju
najmędrsze lekcje
wywiodłem.

Dziękuję wam, podli.

PETAR KARAANGOW

Petar Karaangow urodził się w 1931 r. w mieście Saadanski. Studiował w Instytucie Bibliotecznym i ukończył go w 1952 r. Potem ukończył filologię bułgarską w Uniwersytecie w Sofii. Pracował w oddziale młodych w Związku Literatów Bułgarskich. Obecnie jest zastępcą dyrektora w wielkim wydawnictwie bułgarskim „Pisarz Bułgarski". Wydał zbiorki: „Ślady na drodze" (1957), „Pory roku i nasza ulica" (1960), „Udział" (1964) i „Roczne kręgi" (1965). Pisuje stale w czasopismach i gazetach bułgarskich. Był kilkakrotnie w Polsce i zna polski. Jest tłumaczem poezji polskiej.

Pożegnanie

Teraz rozumiem, Szopenie,
smutek w twych pieśniach oddany.
Niebo listopada nieskończenie
widzę nad strzechą słomianą.

Słyszę dalekie żałosne wołanie
zapóźnionego stada,
co ruszyło ku lądom nieznanym,
gdzie jeszcze lato włada.

Złote liście dźwięczą koło mnie
jak minorowych nut drganie.
W ten jesienny dzień wszystko przypomni
o życia przemijaniu:

przemienione w złoto trawy martwe,
lato zmienione w jesień,
żółte suche liście w cichym parku,
stado, co się w dal niesie.

I ja jutro wzlecę na południe —
hen za horyzont daleki.
Wszystko mija. Trudno!
Tu
jedynie ty żyjesz na wieki.

(Żelazowa Wola)

Z bułgarskiego przełożył TADEUSZ ROSS

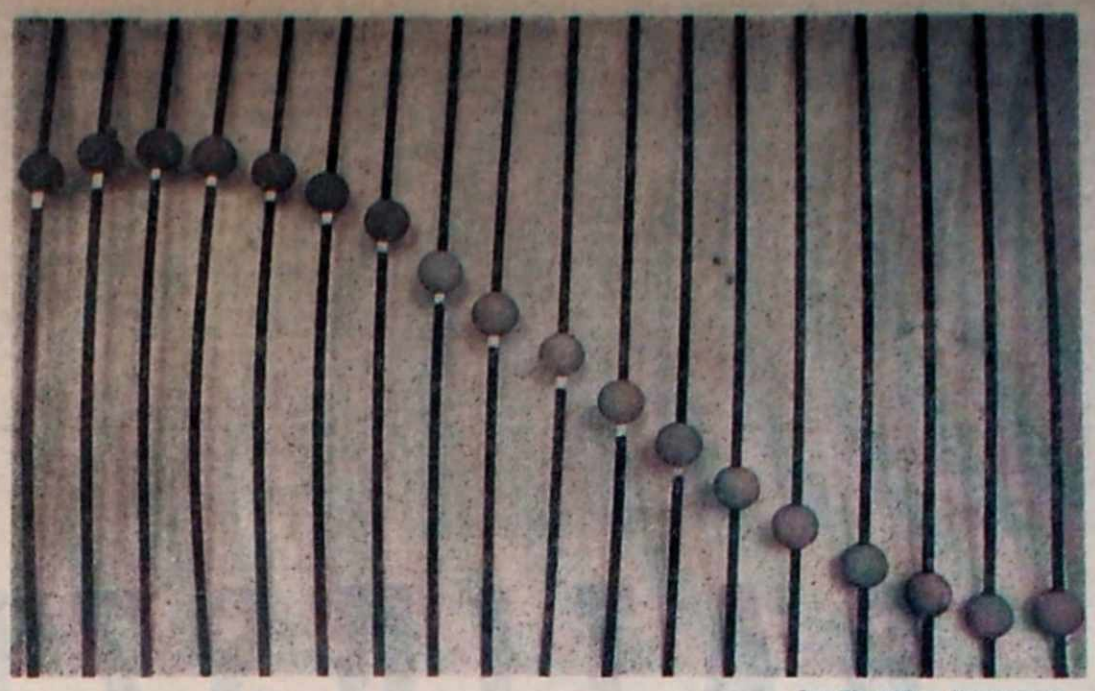

Jan Ziemski — Kompozycja

Po I Ogólnopolskim Sympozjum Artystów Plastyków i Naukowców w Puławach

DOBRY POCZĄTEK

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI

I OGÓLNOPOLSKIE Sympozjum Artystów Plastyków i Naukowców w Puławach zakończyło się 23 sierpnia rozdaniem nagród i wyróżnień. Nagrodę Główną Przewodniczącego Prezydium WRN w Lublinie otrzymał **Ryszard Winiarski** z Warszawy; nagrody Ministerstwa Kultury i Sztuki przyznano **Tadeuszowi Kantorowi, Henrykowi Morelowi, Andrzejowi Pawłowskiemu, Krystynowi Zielińskiemu** i **Janowi Ziemskiemu** (Lublin); nagrodę Ministerstwa Przemysłu Chemicznego wręczono japońskiemu rzeźbiarzowi **Jo Oda**, a nagrody CRZZ — **Gerardowi Kwiatkowskiemu, Alfredowi Lenicy** i **Januszowi Rogowskiemu; Ludmiła Popiel, Teresa Rudowicz** i **Włodzimierz Borowski** (Lublin) otrzymali nagrody ufundowane przez Wydział Kultury Prezydium WRN w Lublinie. Ponadto jury przyznało wyróżnienia honorowe **Zenonowi Kononowiczowi** (Lublin) i **Feliksowi Falkowi**, jako przedstawicielom dwu najbardziej skrajnych postaw artystycznych Sympozjum.

Liczba nagród, autorytet fundatorów oraz poważne kwoty przeznaczone na zakup poszczególnych prac stały się więc dodatkowym potwierdzeniem znaczenia, jakie wiązali z Sympozjum organizatorzy — bezpośredni i patronujący.

* * *

„Azoty" udostępniły plastykom metal i nieco tworzyw sztucznych. Na wystawie poplenerowej dominowało aluminium, żeliwo, miedź i inne trwałe materiały, z którymi wielu malarzy czy rzeźbiarzy zetknęło się po raz pierwszy w swojej praktyce twórczej. Zmiana techniki, rozszerzenie rejestru środków kreacji stały się w kilku wypadkach przyczyną zmian wcale nie powierzchownych.

„Kompozycja 66" Ludmiły Popiel tylko wynika z jej płaszczyznowych obrazów z wystawy przedplenerowej, a w istocie okazuje się rzeczą bogatszą, podlegającą percepcji wielokrotnej, choćby ze względu na przestrzenność układu, dodatkowo różnicowanego kierunkiem oświetlenia.

Teresa Rudowicz na płaszczyznach z tworzyw sztucznych kontynuuje swoją metodę cytatu, zatapia gotowe przedmioty, fotografie, przylepia rękopisy. A przecież właściwości fizyczne i chemiczne nowego materiału określają nową jakość jej obrazów, potęgują ich działanie.

Te dwa przykłady można by pomnożyć o szereg innych, zwrócić np. uwagę na prace Stefana Krygiera lub, kto wie czy nie przede wszystkim, na obrazy młodych lublinian — Adama Styki, Ryszarda Lisa i Władysława Hermana. Także aluminiowe płaszczyzny o ciemnych, geometrycznych kształtach — rezultat prostej czynności... opalania — utrwalone przezroczystym lakierem, pomimo wyraźnych związków koncepcyjnych z wcześniejszym, olejnym malarstwem Andrzeja Kołodziejka prowadzą do odmiennych celów, do innych rozwiązań. Na razie uzyskał Kołodziejek niezwykłą płynność, ruchliwość form wewnątrz obrazu. Rozwinięcie tego elementu może dać odmienną jakość.

Każda nowa wartość, także materialna, może więc spełnić rolę katalizatora świadomości artystycznej, może sprowokować do wypełnienia białych plam na obszarze sztuki, w których istnienie wierzę, bo w przeciwnym wypadku musiałbym zwątpić w sens sztuki.

Dlatego właśnie fakt urządzenia Sympozjum na terenie zakładu przemysłowego, oferującego plastykom i n n e materiały do pracy, uważam za potwierdzenie celowości dalszych spotkań.

* * *

„Przed wejściem do formy wyobraź sobie swoje jedyne życzenie. Można posypywać i dmuchać. Przedmioty można trzymać, położyć, wziąć do ust, zapomnieć o nich. Na wystawie, oprócz rzeczywistej znajduje się przestrzeń urojona. wystawiam sześć eksponatów. Miejsce do stania, miejsce do leżenia, skrzynia do zaglądania, miejsce do kontemplacji, sześcian do wyobrażeń, skrzynia służąca do wniesienia do sąsiedniego pokoju.

Opozycja wobec podstawowej idei każdego dzieła popycha w kierunku rezygnacji z dzieła i przeniesienia go ze strefy materialnej do myśli i dlatego czym jest dzieła mniej, tym lepszy efekt. Można komponować sytuacje, bezsensy, zestawiać sytuacje w jakieś nowe całości". — oto in extenso zacytowany fragment „Instrukcji"; znalazłem ją na stoliku w niewielkim pokoju wypełnionym „skrzynią do zaglądania", „miejscem do kontemplacji" itd., które należy wyobrażać sobie dosłownie: jako skrzynię, wyznaczone miejsce... Autorka ekspozycji, Liliana Lewicka, zapytana „po co i dlaczego tak?!" odpowiedziała, że w ten sposób protestuje przeciwko standaryzacji życia i uniformizacji świadomości w świecie cywilizacji przemysłowej. Pomimo wątpliwości dotyczących wyboru metody (i środków) takiej demonstracji: relatywnej, destrukcyjnej i obliczonej na łatwy chyba efekt — daleki jestem od formułowania tanich kalamburów i wzruszenia ramionami, albowiem fakt pozostaje faktem. Należałoby raczej zbadać warunki (co ze względów oczywistych jest tu niemożliwe), dzięki którym mógł on zaistnieć. Tym bardziej, że nie jest odosobniony.

Włodzimierz Borowski też demonstruje wykładając podłogę połamaną białą masą, poplamioną na dodatek czerwienią. Wobec jego „Pakamery" wszystkie znane kategorie ocen, współrzędne artystycznych odniesień są nieprzydatne. Tu destrukcja osiągnęła swój punkt najwyższy, który jakże łatwo utożsamia się z zerowym. Konsekwencje takiej demonstracji mieszczą się w alternatywie: Borowski przekonany głęboko o słuszności swej orientacji odchodzi zupełnie od plastyki, albo zaczyna wszystko od początku — inaczej.

Uzewnętrznienie się na Sympozjum takich właśnie skrajnych postaw, s w o b o d n e manifestowanie swoich racji uważam za następne potwierdzenie celowości i potrzeby Sympozjum.

* * *

„Nie ma dziś kryteriów oceny, wszystko może być dziełem sztuki" — powiedział krytyk na spotkaniu dyskusyjnym w klubie NOT. *„Są kryteria oceny* — zrispostował wybitny artysta krakowski. — *Mieszczą się one w nas samych, w praktykach. Wynikają z intuicji, z ciągłego obcowania z twórczością innych malarzy. To wy, krytycy, uogólniając upraszczacie, patrząc zbyt szeroko nie widzicie konkretnych, jednostkowych zjawisk artystycznych, przez co w historii sztuki polskiej nie zanotowano wielu ważnych faktów, wyznaczających pozycję naszej sztuki".*

Wysoka temperatura towarzyszyła niemal każdej dyskusji. Rozmawiano (częściej spierano się) o sytuacji w sztuce polskiej, o nowych sposobach wypowiedzi w malarstwie, o *„teorii miejsca"* i *„Telechromii jako nowej technice malarstwa ściennego"*. Prof. Hryniewiecki mówił o związkach sztuki z techniką — m. in. do zaproszonych dyrektorów zakładów przemysłowych Lubelszczyzny!

Spotkań było dużo, lecz według opinii plastyków — za mało. Świadczy to z jednej strony o zainteresowaniu taką formą wzajemnej wymiany poglądów, z drugiej natomiast o braku wyczerpującej informacji o życiu plastycznym w kraju i za granicą. Aktualnie w Polsce ukazuje się przecież zaledwie jeden periodyk poświęcony sztuce współczesnej *„Przegląd Artystyczny"*, o zawężonym na dodatek profilu, dość dużo miejsca zajmuje plastyka we *„Współczesności"*; inne czasopisma społeczno-kulturalne ograniczają się naturalnie do recenzji i sporadycznych artykułów problemowych, a świetny skądinąd *„Projekt"* zajmuje się przede wszystkim plastyką użytkową. Szczupły i w chwili ukazania się już zdeaktualizowany pod względem informacyjnym biuletyn ZPAP także nie spełnia poważniejszej roli. A pomyśleć, że w okresie międzywojennym ukazywało się ponad 20 pism poświęconych sztuce!

W tej sytuacji Sympozjum spełniło zadanie miejsca wymiany informacji. I to kolejne jego uzasadnienie.

* * *

Festiwal szczeciński, o którym pisałem w poprzednim numerze „Kameny", ujawnił kilka mało przydatnych artystycznie cech lubelskiego środowiska plastycznego. Na wystawie poplenerowej w Puławach wystąpiliśmy jako równorzędni partnerzy *).

Jak do tego doszło, że Lis, Styka i Herman, do niedawna ocierający się o postimpresjonizm, z chwilą gdy dostali aluminium i drewno potrafili zwrócić na siebie uwagę? Kilka momentów, które pozwoliły na taką metamorfozę już wymieniłem, teraz chciałbym wspomnieć o jeszcze jednym, bodaj czy nie najważniejszym. Chodzi mi o klimat Sympozjum, o obecność wybitnych artystów, która stwarzała bodźce ambicjonalne, aktywizowała osobowość twórczą młodszych kolegów. Jasne, że ambicja nie poparta m o ż l i w o ś c i a m i nie na wiele by się zdała. Widocznie możliwości były. W środowisku lubelskim wyodrębnia się grupa ciekawych plastyków, środowisko to ma przed sobą wielką szansę, którą powinno wykorzystać.

Obrazy i rzeźby wymienionych artystów, pokazane na wystawie poplenerowej, potwierdziły trafność zaproszenia ich do udziału w Sympozjum. Potwierdziły również, że bez ciągłych spotkań, wymiany poglądów, bez aktualnej informacji i odpowiednich warunków sztuka dziś nie powstaje. Po Sympozjum pozostało wiele wartościowych dzieł.

* * *

„Pierwszy raz widziałem tyle obrazów i rzeźb. Ja nie mówię, że on nic nie przedstawiają, bo może ja nie widzę wszystkiego. Ale Japończyk zgodził się na dwa kolory kiedy powiedziałem, że tak będzie lepiej. Jak rozmawialiśmy? Rysował kredą, co trzeba wyciąć, no i wymiary, i mówił „gaz"!, a wtedy ja palnikiem, a on „charaszo" albo „o'key" i wiedziałem, że jest dobrze. Panie, 20 lat jestem spawaczem, ale takiego cwaniaka nie widziałem. Jak wziął palnik do ręki, to robił jak ja. Zdolny człowiek!" — kończy z uznaniem Franciszek Maksymiuk, pracownik „Azotów", który pomagał Japończykowi Jo Oda w realizacji rzeźb metalowych, podarowanych następnie przez znanego artystę Zakładom Azotowym.

I to już ostatni argument na korzyść Sympozjum (które będzie w przyszłości kontynuowane).

---

*) **Chodzi mi w tym wypadku o malarzy debiutujących w tak poważnej imprezie, z których tylko jeden uczestniczył w ostatnim Festiwalu w Szczecinie.**

Dyskusja o czasopismach terenowych

Co robimy?

EDGAR MILEWSKI

Z URLOPOWYM spóźnieniem spieszę odpowiedzieć na propozycję „Kameny" i mocząc nogi w Bałtyku próbuję zebrać myśli wokół zaiste nie letniego problemu — formuły i funkcji terenowych czasopism społeczno-kulturalnych.

Cóż mogę — poza podpisem pod tezami i wnioskami referatu Jana Góreca-Rosińskiego pt. „Społeczna funkcja literatury a problemy upowszechnienia" wygłoszonym na IX Zjeździe Pisarzy Ziem Zachodnich i Północnych w Bydgoszczy oraz wywodami Marka Adama Jaworskiego opatrzonymi przez „Kamenę" wymownym, tytułowym pytaniem: „Czasopisma terenowe ubogi krewny?" — dodać do tego tematu, który nic nie ujmując galowości zbliżającego się Kongresu Kultury Polskiej, mógłby stać się przedmiotem jego troski?

Najpierw chyba paradoksalne spostrzeżenie, że właśnie pełnia lata, szczyt masowej turystyki, żniwa miłośników krajoznawstwa, okres ogólnopolskich wczasów, sprzyjać powinny niniejszej sprawie. Powinny, to znaczy, że nie sprzyjają, że pozostają wielką nie podjętą szansą upowszechnienia kultury. Wszelkie poczynania w tej dziedzinie paraliżuje opinia, jakoby wczasy równały się rozrywce, a urlop odpoczynkowi. Jest to pogląd tak ugruntowany, jak tylko dyletantyzm potrafi się zakorzenić i rozplenić. Czy wiemy bowiem, co właściwie należy rozumieć przez rozrywkę i odpoczynek? Nieśmiałe próby definiowania i co zatem idzie programowania rozrywki zastępuje przecież w praktyce najczęściej chałtura, a odpoczynek przyjmuje się z ulgą, niemal jak radosne hasło zwalniające od trudów działalności, żeby nie rzec od odpowiedzialności.

Słuchamy z aprobatą naukowych stwierdzeń psycho-socjologów, że istotą wakacyjnej wędrówki ludów jest potrzeba zmiany środowiska, klimatu, pejzażu, po czym niezmiennie wulgaryzujemy cały problem sprowadzając go do zmiany partnerki na potańcówce, czy partnera do szachów, w identycznie zresztą nudnych, od Tatr po Bałtyk, naszych wczasowiskach. Widzimy ileś tam — właśnie ile? — tysięcy mieszkańców wielkomiejskich ośrodków przesyconych na co dzień kulturą, pragnących na chwilę odetchnąć od pracy, ekranu, książki, od sal wykładowych czy koncertowych, lecz nie zauważamy co najmniej kilku — znów ilu? — milionów ludzi, dla których wakacje są jedynym okresem w ciągu pracowitego roku, kiedy mają wreszcie czas i ochotę na poważniejszą lekturę, na problemowy teatr, dyskusyjny film, na poznanie i zgłębienie rzeczywistych wartości współczesnej sztuki, na rozbudzenie i zaangażowanie swoich bardziej lub mniej uświadomionych potrzeb kulturalnych.

Warto sądzę zapytać, co robimy, aby temu ogromnemu zapotrzebowaniu społecznemu sprostać? Ogromnemu i nowemu, jako że ruch wczasowo - turystyczno - krajoznawczy w tak masowej skali obserwujemy u nas zaledwie od lat kilku. Wydaje mi się, że właśnie w tym nowym zjawisku o cechach dynamicznego procesu szukać należy nowych możliwości rozwoju społeczno-kulturalnej funkcji terenowych czasopism. I chyba nie tylko czasopism, lecz także terenowych czy regionalnych — mniejsza o nazwę, dyskutujmy nad pojęciem — ośrodków telewizyjnych i radiowych.

Wydawcy notują w czasie letniego sezonu wzrastające z roku na rok, coraz gwałtowniejsze i tym ciekawsze, wahania nakładów czasopism. Przemieszczają się nie tylko czytelnicy, ale i radiosłuchacze i telewidzowie. Miliony rodaków wędruje przez kraj z radiem na ramieniu, telewizory dotarły do tatrzańskich schronisk i statkowych kajut, a czasopisma czekają w tysiącach wiejskich klubów prasy. Czy to nie nowa wielka szansa dla terenu? Nowe realia, które powinny kształtować funkcję, określać formułę — przynajmniej na okres sezonu — regionalnych czasopism, rozgłośni, telewizji?

Ba, kiedy śladem czytelników nie podążają reporterzy, radiosłuchaczom nie towarzyszą mikrofony, a telewidzom kamery. Nikt nie porusza anachronicznych poglądów o malejącym rzekomo w lecie odbiorze i nikt nie zmienia zestarzałych szablonów redakcyjnych programów. Radio nadaje muzykę ze starych taśm, telewizja powtarza znane telerecordingi, a czasopisma są tak ogórkowe, jakby były charytatywną fundacją plantatorów.

Rozgłośnia gdańska, mimo że jej milionowe audytorium zwielokrotnia się w każdym sezonie, nie zyskuje ani minuty w programie ogólnopolskim ani złotówki na program lokalny. Podobnie rzecz ma się z gdańską telewizją, której udział w programie ogólnopolskim nie nadąża za rosnącym w społeczeństwie zainteresowaniem sprawami morza. Najbardziej wizyjny ekran kraju — morze, nie doczekało się jeszcze transmisyjnego wozu. A gdańskie „Litery", jedyne społeczno-kulturalne czasopismo Wybrzeża, zwiększyło co prawda ostatnio objętość do 40 stron, lecz uchwała krakowskiego zjazdu literatów polskich postulująca — rzecz piękna i bez precedensu — zwiększenie częstotliwości tego regionalnego miesięcznika, oczekuje dopiero realizacji. Trudno więc jeszcze mówić o zaspokojeniu zainteresowań sezonowych czytelników, o pełnym zaangażowaniu w aktualną problematykę. Wiele pomóc mogłaby współpraca centralnych czasopism kulturalnych z regionalnymi, ale ani „Kultura" ani „Życie Literackie" jakoś nie kwapią się do tego, zadowalając się własnym podwórkiem czyli fragmentarycznym obrazem życia.

No cóż, jak na urlopową korespondencję znad morza chyba dość. O innych aspektach tego problemu może — może nasze morze — jesienią na Kongresie Kultury.

Szlachetne hobby KOŁŁĄTAJ

RYSZARD PODLEWSKI

MÓWIĄ o nim niby żartem: „wnuczek Kołłątaja" i w określeniu tym zawiera się cały stosunek Jana Henryka Górala do wielkiego twórcy „Kuźnicy", radykalnego działacza i pisarza. Kiedy poczuł to silne pokrewieństwo z wielkim Hugonem — kierownik Góral, na co dzień kierujący Spółdzielnią Mineralno-Chemiczną „Alfa" w Sztombergach pod Staszowem? Odpowiada bez wahania:

— W 1939 roku, kiedy to jako działacz „Wici", przygotowywałem z kolegami uroczystość złożenia wieńca pod tablicą, za którą wmurowano serce Kołłątaja w kościele w Wiśniowej. Ówczesna właścicielka posiadłości, Hulewiczowa, sprzeciwiła się młodzieżowej manifestacji ku czci radykała, który „zhańbił swoją klasę". Delegacji wiciowej nie chciano wpuścić oficjalnie do kościoła; musiała ona użyć fortelu, by dostać się tam bocznymi drzwiami i uczcić wielkiego Polaka, współtwórcę 3-Majowej Konstytucji, który z tą ziemią, z Wiśniową, miał liczne powiązania.

Jan Henryk Góral „nabrał wtedy serca" — jak mówi — do Kołłątaja, zaczął zbierać wszystko, co go dotyczyło, notował nawet wypowiedzi dziedziców, którzy lansowali pogłoskę, że Kołłątaj za karę, iż odszedł od swojej klasy — zmarł z głodu, odosobniony i chory.

Skąd powiązania Sztombergów, niewielkiej wioski, z Kołłątajem? Sama nazwa wyjaśnia lepiej zorientowanemu, że Sztomberg to przekształcony trochę, pierwszy człon nazwiska rodowego hrabiów Sztumberg — Kołłontajów, bo przez „on", a nie przez „ą" pisano pierwotnie to nazwisko i tak też brzmi ono na tablicy w kościele w Wiśniowej. Wiśniowa, w której pozostał stylowy 17-wieczny pałac, była posiadłością Hugona, w tutejszym kościele spoczęły zwłoki matki, a potem serce syna, zamknięte w trzy naczynia: szklane, cynowe i drewniane. Wiśniową często wymieniał pisarz w swoich listach, których wyjątki wypisał Jan Henryk Góral i umieścił na tablicy w ramach nieduże], lecz pouczającej wystawy, dotyczącej życia i dzieł Hugona. Kołłątaj pisał „Wiszniowa", ale — jak mi tłumaczy pan Góral — była to naleciałość kresowa, bo rodzina przeniosła się z Wołynia do województwa sandomierskiego, w którego granicach znajdowała się wówczas wioska.

Jan Henryk Góral interesował się pracami Kołłątaja i losem pałacu przez całe życie. Bolało go, że pałac jest stopniowo dewastowany przez nieodpowiednich lokatorów, że niszczy się drzewa pamiętające Kołłątaja. Nawet, kiedy los rzucił go w pewnym okresie do Łodzi, nadal przyjeżdżał tutaj i patrzył, co się dzieje. Kiedy zaczęto rozbierać dach na pałacu począł interweniować bardzo wysoko, napisał list do Bolesława Bieruta, którego pomoc spowodowała, że w ciągu dwóch miesięcy położono nowy dach!

Znajdując się daleko od Wiśniowej stale przeszukiwał antykwariaty, a do dziś ma znajome sklepy, w których odkładają dla niego wszystko, co dotyczy Hugona Kołłątaja. Książki — drogie przecież, bo nierzadko jeden tom kosztuje kilkaset złotych, kupował za własne pieniądze i w ten sposób dorobił się pierwszego wydania, z roku 1788 — „Listów Anonima" do marszałka Sejmu Czteroletniego Małachowskiego — pióra Kołłątaja, następnie jego „Historii o początkach rodu ludzkiego" i wielu różnych monografii, poświęconych bojownikowi o prawa dla wszystkich.

W Sztombergach — przy zakładach „Alfa" — Jan Henryk Góral jako kierownik, zajął się energicznie organizowaniem życia kulturalnego, zdobywaniem kąta dla klubu, który dziś zajmuje już cały duży barak i składa się z kilku salek. Jest salka telewizyjna, jest sala czytelni i pokój gościnny i wreszcie biblioteka, będąca jednocześnie rodzajem sali wystawowej. Wszystkie ściany wykorzystane pod ekspozycję amatorskiej, ale bardzo bogatej wystawy kołłątajowskiej. Zgromadzono tu portrety ludzi z otoczenia Kołłątaja i widoki Warszawy z czasów Konstytucji 3 Maja — cała jedna ściana poświęcona jest „Kuźnicy Kołłątajowskiej", druga „Komisji Edukacji Narodowej", są portrety króla Stanisława Poniatowskiego i liczne konterfekty księdza Hugona z różnych okresów działalności. Inna ściana ukazuje Wiśniową — pałac i kościół, tablicę i urnę z sercem, jest nawet zdjęcie zegara, którego używał Kołłątaj w podróżach powozem. W gablotach za szkłem świeżo oprawione i zakonserwowane „białe kruki" pana Górala — druki ukochanego pisarza.

To wszystko ma uprzytomnić odwiedzającym silne więzi ze sławnym rodakiem, ma stanowić bodziec do prac społecznych, które pracownicy Sztombergów wykonują w parku w Wiśniowej — liczącym 4 hektary. Te skromne zbiory wyzwalają w ludziach tak potrzebny zapał i patriotyzm lokalny. Uparte starania Górala przyniosły już najlepsze efekty, on sam uważa je za ukoronowanie swojego życia. W klapie nosi przecież znaczek Społecznego Opiekuna Zabytków. Otóż pałac w Wiśniowej przeznaczono wreszcie na szkołę, wykwaterowano wszystkich lokatorów. Wnętrza zawierające 22 małe salki przerabia się i adaptuje na potrzeby szkoły, zachowując co najcenniejsze — stylowy charakter całości. Na prace te przeznaczono z państwowej szkatuły 3 i pół miliona złotych. Otoczone będą pietyzmem stare z kołłątajowskich czasów drzewa, w miejsce zniszczonych zasadzi się nowe. Jan Henryk Góral rozmarza się, choć nie należy do ludzi łatwo się rozklejających. Twardo stoi na ziemi, potrafi po gospodarsku planować i pracować także zawodowo. Spółdzielnia „Alfa" w Sztombergach daje już około 150 tysięcy złotych dochodu kwartalnie oraz zatrudnienie dla 100 osób; to także praca, w której nie mało zasługi położył uparty hobbysta.

Długo rozmawiamy o Kołłątaju — pan Góral zna jego biografię z dokładnością do miesiąca — wie, gdzie był w tym i tamtym roku, i dokąd jechał z Krakowa w roku 1794 — jaką drogą i kiedy był ostatni raz w Wiśniowej — na dwa lata przed śmiercią w 1819 roku.

(Dokończenie na str. 11)

BATIUSZKA

(Dokończenie ze str. 1)

mordowali. — Michała zagłuszyli inni.

Potem ten z powiatu ogłosił: dawać kandydatury. Stanął z kredą przy tablicy, stoi, ale bez skutku. Milczą. Od kółkowych trybów lepiej z dala, biedy dużo, pożytku mało, każdy patrzy ci na ręce. Aż tu ktoś zagaja z kąta:

— *A sztob tak... batiuszku!*

Delegaci z powiatu zamrugali i spojrzeli po sobie. Ten przy tablicy odłożył kredę. Krzyk:

— *Nu co, niegramotny!? — Piszi...!*

Zagłosowali. Mało kto ręki nie podniósł. Słowem, zrobili z batiuszki prezesa.

Cerkiew stoi przy skrzyżowaniu. Naprzeciwko niej, po drugiej stronie drogi, zieleni się przez sztachety ogród, „słynny ogród batiuszki". Za żywopłotem z bzu stoi chata. To plebania.

Ledwie wszedłem na podwórze wyskoczył z budy pies, jednym susem napiął łańcuch, szczeknął tak sobie i siadł na ogonie. Między domem a oborą przy stercie chrustu stał tyłem do mnie smukły mężczyzna z siekierą w ręku. Gdy odwrócił się, nie od razu uświadomiłem sobie, że to o n. W granatowym kombinezonie, krótko ostrzyżony (nie wypada powiedzieć o duchownym: „na fanfana"), z bródką zgrabnie przyciętą, siwy i przyjaźnie uśmiechnięty.

— *Czemu nie, możemy pogadać* — odpowiedział zdejmując ze mnie wszystką tremę naraz. — *Chodźmy.*

Mieszka w izbie urządzonej wstrzemięźliwie, aż po spartańsku: wysoki drewniany stół, dwie grube ławy, żelazne łóżko. W kąciku drugi stolik, chyba obrzędowy, na nim jakieś księgi, a wyżej ikona i lampka. Na parapecie ostatni numer „Ochrony Roślin", obok skoroszyt z napisem „Kółko Rolnicze".

Tak, nie wszyscy darowali mu wystąpienie wyborcze. „*Niech nie wtyka nosa w nieswoje sprawy, bo może się oparzyć*".

Jakoś w drugim tygodniu prezesowania, po zmierzchu, czytając książkę dostrzegł batiuszka kątem oka ogień za oknem. Skoczył do drzwi. Za późno, dwa stogi płonęły już jak olbrzymie pochodnie. Nadbiegli ludzie, wdrapali się na chlew i stodołę, zagrodzili pożarowi drogę na wieś.

Rozkręciło się śledztwo.

Naczelnik straży oświadczył, iż źródłem ognia była niechybnie żarówka na stojącym zbyt blisko oboroha słupie. — *Na jakim słupie?* — zapytał batiuszka. Śledczy nadstawili ucha. — *Na słupie, co tu stał i spłonął* — rzecze niezmieszany naczelnik. — *Tu żaden słup nie stał* — na to batiuszka dobitnie. — *Co?!* — żachnął się naczelnik. — *Mogę dać czterech świadków, że stał!* — *A ja mam czterystu na to, że nigdy oświetlenia tu nie było!* — zadrżał, pojąwszy rzecz, batiuszka.

Czyli trafiono na ślad. — *Panowie, po nitce do kłębka* — radził batiuszka. On już wiedział, gdzie kłębek, ale jakże księdzu skazywać parafianina? Tymczasem śledczy, człek nerwowy, nitkę zerwał i machnął ręką na sprawę. Batiuszka wybrał się do prokuratora w Białymstoku. Do szarego gmachu szedł z dworca jednak okrężną drogą — Aleją 1 Maja, Lipową, Próchniaka. Wchodził wolno, stopień po stopniu. Niech stanie się zadość sprawiedliwości. O ileż łatwiej byłoby wybaczyć! Na pierwszym podeście zawrócił. Do zmierzchu błąkał się po ulicach, a wieczorem płakał, po raz pierwszy w życiu. Skulony na kanciastym łóżku, strasznie sam, przeglądał rok po roku swoje życie. I wtedy ogarnęła go nagle trwoga, wielki strach, czy nie pomylił życia bezpowrotnie? Może trzeba było nie wychodzić z cienistego azylu świątyń, kontemplować w alejach biblijnych wersetów? Nauczać niedzielnie ubrany tłum. A on... Wybrał powszedniość, smoli się z traktorzystami przy ursusach. Częściej w kombinezonie, niż w sutannie.

Urodził się na Ukrainie w rodzinie ośmioosobowej. Ojciec, bednarz, za cel życia postawił wykształcenie jednego dziecka. Jego wybór padł na średniego syna. Jan nie zawiódł ojcowskich ambicji. Uczył się zapewne doskonale, skoro udało mu się przedrzeć przez elitarne progi aż do poczajewskiego seminarium. Po każdych odwiedzinach w domu dostawał od matki półmetrowy worek kaszy. Taszczył go na plecach 70 kilometrów, było żarcia na miesiąc. Bogatym a tępym pisał wypracowania. Ukończył seminarium z medalem. Dostał zamożną parafię, a przy niej 40-dziesięcinowe gospodarstwo (ojciec miał wszystkiego pół dziesięciny). Uczył się rolnictwa z taką samą pasją, co greki. Nauczył się, ziemia to doceniła i odwzajemniła. Choć bogaty, żył jak pustelnik, o chlebie i wodzie. Każdy grosz wysyłał rodzinie: kształcił w szkołach trzech braci, siostrę i szwagra. Najstarszemu nie starczało. Otrzymywał od niego listy: „*Janku, bracie, dopomóż, ja muszę się uczyć*". Jan odpisywał: „*Człowieku, na miłość boską czekaj, tamci się wykształcą — pomożemy ci*". On nie dał rady czekać — targnął się na życie. Miał trzydzieści lat.

Niedługo później zmarła podczas porodu żona. Synek ocalał. Owdowiałego na całe życie batiuszkę przeniesiono do cerkwi w Bielsku Podlaskim. Tu zaangażował się do opieki społecznej i walki z alkoholizmem. Wojnę przeżył na Lubelszczyźnie. Hitlerowcy zamordowali mu matkę i siostrę, także wielu jego przyjaciół — księży prawosławnych i katolickich. Ich męczeńska śmierć była testamentem. Krzemiński go odczytał.

Gdy w 1947 roku znalazł się w białostockiej wsi Jaczno koło Dąbrowy, zorganizował grupę ORMO; przez wszystkie 13 lat był członkiem komisji oświaty przy PRN i przewodniczył komisji rewizyjnej SOP. Kierował budową drogi i świetlicy. Świetlica stanęła obok cerkwi. Kobiety napadały na plebanię, aby wypędzić z niej „*popa-komunistę*". (Dziś te same kobiety wracają z nabożeństwa zachodzą do świetlicy „zagrzać się", poczytać gazety, „podziwić się" w telewizor).

Tamże w Jacznie za pracę duszpasterską otrzymał ksiądz Krzemiński Złoty Krzyż z Ozdobami — jedno z najwyższych odznaczeń kościoła prawosławnego.

W roku 1960 przeniesiono go do Nowej Woli.

Tutejszy aktyw, po krachu spółdzielni produkcyjnej, od paru lat znajdował się w rozsypce. Nauczyciele nie wysadzali nosa poza szkołę, młodzież chodziła samopas. Kółko rolnicze ledwie zipało. Mleczarnia grzęzła w mankach. Rolnicy siali, jak za cara — żyto, kartofle, grykę. Pagórki szarzały odłogami. Od Imszaru ciągnęło bagienną stęchlizną.

W Nowej Woli trafiła się księdzu Krzemińskiemu oryginalna szansa. Uchwycił się jej i — wygrał.

Parafialne gospodarstwo, na które postawił, liczyło 6 hektarów. Zadłużone u państwa na kilkanaście tysięcy długu, słynące szeroko z perzu i kamieni. Ale ziemia trafiła na swego. Ksiądz Krzemiński po dwóch latach pracy zebrał plon żyta najlepszy w okolicy. W ogrodzie — tuż przy drodze, piękne propagandowe miejsce! — zasadził truskawki i czarną porzeczkę. Obrodziły tak, że ogrodnicza spółdzielnia „Witamina" natychmiast powierzyła mu funkcję przodownika produkcji ogrodniczej.

Opowiadano mi o kazaniu odpustowym batiuszki w Juszkowym Grodzie. Apelował akurat do matek w sprawie nowoczesnego, zgodnego z duchem czasu, wychowania dzieci — w umiłowaniu prawdy i poszanowaniu drugiego człowieka. Pochwaliwszy pożytki modlitewnych medytacji, szkolnych nauk, pracy i sportu, kaznodzieja uwieńczył wątek następującą dygresją:

— *A nie zapominajcie, matki drogie, że jest jeszcze jeden środek, jakże pożyteczny i nieodzowny dla zdrowia i szczęścia waszych dzieci: Wi-ta-mi-ny, matki drogie, wi-ta-mi-ny.*

I kilkoma zdaniami objaśnił tajemne, a błogosławione oddziaływanie cebuli, truskawek, pietruszki.

Do niedawna truskawki były w nowowolskiej okolicy czymś równie egzotycznym, jak figi lub ananasy. Pewnej nocy do popowego ogrodu zakradli się „w arendę" chłopcy aż z odległego o 8 km Michałowa. Batiuszce udało się jakoś nicponi „zaaresztować" i zaprowadzić na plebanię. Tu poczęstowani truskawkami z koszyka wysłuchali prelekcji o tym, jak tę roślinę sadzić i pielęgnować, by dała smakowity owoc. Czy udało się batiuszce przekonać któregoś z jedzących do uprawy truskawek — tego już nie wiem.

Tymczasem stało się głośno i o innych ewenementach Krzemińskiego: o koniczynie szwedzkiej, o lucernie, o pasiece z 50 uli, o ośmiu wysokomlecznych krowach, o 20 owcach rasy merynos. Wszystko to na sześciu nie najlepszych hektarach, bez konia, dzięki maszynom wynajmowanym z kółka.

Jak widać, wtykać nos w sprawy kółka miał batiuszka takie samo prawo, jak inni członkowie. Niektórzy we wsi byli innego zdania, m. in. ów, co podłożył ogień pod stogi, a także Michał N., którego popisy nie skończyły się wcale na wyborczych przekleństwach. Warchołów zastopował przypadek.

Pewnej niedzieli Michał N., pijany w sztok, poszedł spać na siano. Za nim wśliznął się do stodoły pies, rosły kundel. Wtulił się panu pod pachę i tak spali zgodnie. Koło północy. N. zwymiotował, przez sen. Głodne psisko oprzątnęło leże i zaczęło oblizywać flejtuchowi usta i policzki. N., nie budząc się, wyrżnął psa pięścią. Pies warknął i gdy oberwał drugi raz, schwycił pana za ucho. Zaczęli się szamotać. Pies wyszedł z walki cało, a N. bez jednego ucha i z poszarpanym obliczem. — *To kara boża za batiuszkę* — skomentowały baby niezwykły przypadek.

Od Sanu do Wisły

WITOLD SZYMCZYK

MOSKWA — Plac Czerwony. Minęła właśnie godzina 22, gdy nad basztami Kremla wykwitły raptem girlandy różnobarwnych świateł, a w chwilę potem zahuczała artyleryjska salwa. Salut z okazji Dni Lotnictwa przypomniał mi gmach Biblioteki im. Lenina, gdzie na pożółkłych stronicach frontowych gazet wyczytałem: „*28 lipca 1944 r. o godzinie 22 stolica Związku Radzieckiego Moskwa salutowała wyzwolenie miast Jarosławia i Przemyśla 20 salwami z 224 dział*".

Frontowe gazety. „*Na rozgrom wraga*" — dziennik 1 armii pancernej gwardii, „*Syn Rodiny*" — gazeta 13 armii, „*Armiejskaja Prawda*" — 60 armii, „*Za czest Rodiny*" — gazeta wydana przez dowództwo 1 Frontu Ukraińskiego... Po latach, na ich łamach odnajduję atmosferę tamtych lipcowych dni roku 1944, nazwiska ludzi, którzy przynieśli nam wyzwonie, opisy walk z Niemcami, spotkań z polskim społeczeństwem.

„*Ostatniego dnia czołgiści przebyli 60 kilometrów. Za rzeką widniało miasto piękne swoimi basztami, wieżami i kolorowymi dachami domów. Niemcy podrzucają siły. Ze Stryja forsownym pochodem przybył tu 237 marszbatalion liczący 1800 ludzi. Z pociągów wyładował się 21 pułk grenadierów pancernych i oddziały 24 dywizji pancernej. Z marszu weszły one do walki. Dowódca 237 batalionu kpt. Wentzel nie zdążył nawet wydać rozkazu bojowego. W drodze do okopów krzyczał tylko, by zająć stanowiska i nie puszczać ruskich.*

Ale żołnierze Bohatera Związku Radzieckiego oficera Gawriszko byli pierwsi. Do świtu sforsowali rzekę — zmięli niemieckie umocnienia, zajęli przyczółek. Fizylierzy kpt. gwardii Kukina także przeszli San i posunęli się naprzód.

Ruszyli Niemcy na radzieckich czołgistów i zmotoryzowanych strzelców. Ci zalegli, przeczekali napór, a potem wzięli hitlerowców w kleszcze. Ruszyły do natarcia czołgi i po godzinie niemieckie zgrupowanie było pobite na głowę. Wkrótce za San przyszła kolumna jeńców. Oberleutenant Heinrich Abram dowódca 2 kampanii 237 batalionu mówił:

— *Nie zdążyliśmy obsadzić pozycji, a już wasi rozbili nas i musieliśmy iść do niewoli.*

Dwie doby trwały walki nad brzegami Sanu. Płonęły czołgi. Niemcy zaczęli palić coś w mieście, które osnuło się dymem. W ciemności widać to było szczególnie wyraźnie".

Pierwszy forsował San pod Jarosławiem Wasyl Nikitin, sybirak znad Irtysza, który w nocy dwa razy przepłynął rzekę i wyszukał bród dla czołgów. Po dwudniowych walkach, w których zniszczono 22 czołgi niemieckie ruszyło nocne natarcie, którego celem było zdobycie Jarosławia.

„*Główne uderzenie przeprowadzał kapitan gwardii Muzykantow. Szło ono w kilku kierunkach. Na jednym prowadził atak sam Muzykantow, na drugim — jego zastępca Szustow, na trzecim — Bohater Związku Radzieckiego st. leutnant Podgorbuński. Do rana miasto było oczyszczone z hitlerowców... Zdobyto 3 parowozy, 120 wagonów, składy żywnościowe i inne".*

Dowódca 1 armii pancernej gwardii gen. Katukow specjalnie nie poprowadził szturmu na miasto, a zdobył je przez działanie okrążające. Artylerzyści mieli zakaz ostrzeliwania Jarosławia. Kilka pocisków spadło jedynie w okolicy dworca kolejowego, gdzie wyładowywały się posiłki niemieckie.

W czasie, gdy armia Katukowa wyzwalała Jarosław, a czołgiści z 3 armii pancernej gwardii gen. Rybalki — Przemyśl (z wyj. Zasania, które także wyzwolili Katukowcy), naczelne dowództwo radzieckie przygotowywało dla nich nowe zadania. Okazało się bowiem, że po rozbiciu hitlerowskiego zgrupowania w rejonie Brodów, pobiciu dywizji usiłujących utrzymać linię Sanu i odejściu lwowskiego zgrupowania na południe, na przestrzeni między Sanem a Wisłą nie ma żadnych poważniejszych sił nieprzyjaciela. Ba, także linia Wisły nie była obsadzona. Nadarzyła się zatem okazja zdobycia przyczółków na lewym brzegu rzeki, która stanowiła przecież poważną przeszkodę dla nacierających wojsk. Dowódca 1 Frontu Ukraińskiego marszałek Koniew kieruje swoje główne siły nad Wisłę. Pędzą tu przez Leżajsk, Rudnik, Jeżowe, Majdan, Dębę korpusy czołgów gen. Katukowa. Za nimi (krótszą drogą na prze-

Z zarządem batiuszka dogadał się bez trudu zaraz po wyborach. Jedynym jego manewrem było przesunięcie Borysa Niedźwiedzia na księgowego. Nowy prezes wniósł nową atmosferę. Obecność w zespole duchownego, do tego znakomitego rolnika, podwójnie zobowiązywała wszystkich do rzetelności i zaufania. Od tego momentu miały sens każdy zakup i każde zapalenie silnika.

Nie od razu dopasował się do nowych porządków dyspozytor maszyn. Prezes postanowił ukrócić jego bałaganiarstwo. Wezwał komisarzy z Białegostoku. Zebranie zagaił krótko: — *Wnoszę o zdjęcie Pawła R. ze stanowiska.* — *Dobrze, dobrze,* — na to ci z powiatu — *a następcę ksiądz ma?* — *Mam* — odrzekł pewnie batiuszka. — *Kogo?* — W tym momencie Paweł R. spojrzał na batiuszkę desperacko oczyma człowieka odtrąconego. A batiuszka wskazując go wyprostowaną ręką, obwieścił: — *A jego!*

Ci z powiatu mieli później do księdza Krzemińskiego trochę pretensji, że „zrobił szopkę".

— *Może i szopkę* — przyznał. — *Ale dzięki niej człowiek się odrodził.*

Nie lekceważyć pedagogicznych metod batiuszki! Coś w nich jest, skoro nawet naczelnik straży i Michał N. są dziś najgorętszymi jego sojusznikami.

W pierwszym roku „nowej ery" bilans kółka zamknął się na zero, mimo że jechało ono na roztrajbowanych maszynach. Drugi rok, 1965, przyniósł 44 tysiące zysku. Rada Państwa w uznaniu wieloletniej pracy społecznej odznaczyła księdza Krzemińskiego Złotym Krzyżem Zasługi.

Oglądałem obydwa Złote Krzyże — kościelny i państwowy. Batiuszka pokazywał je z dumą i z jakimś spokojem pełnej radości — że jeden nie przeczy drugiemu. O tej zgodności gadaliśmy parę dobrych kwadransów. Batiuszka sięgnął pod stół i z gąsiora utoczył do karafki nieco wina. Dojrzewającego jeszcze słodkawo-cierpkiego, z czarnej porzeczki. Miało się już ku wieczorowi, na szybach spoczęły chłodne cienie drzew. Batiuszka snuł pełen refleksji monolog. — *Uszlachetnianie człowieka. Nowoczesna moralność, wspaniały cel godny epoki, w której dość miejsca dla wszystkich, także dla majstrów w sutannach...*

Mówił ze studencką werwą, żarliwie.

— *Syn mój zwiedził Związek Radziecki i dużo opowiadał o tamtejszym społeczeństwie. Mówił, że wśród młodych spotykał co krok ludzi nowoczesnych i bardzo szlachętnych. A przecież oni* — tu batiuszka zwrócił twarz ku oknu i zmęczonymi oczyma zapatrzył się gdzieś w siebie — *a przecież oni... wyrośli bez Boga.*

Z ulicy dolatywało porykiwanie wracających z pola krów. Powinienem już iść, gospodarza czekały obowiązki. Wstałem. Z wolna zapinając bluzę batiuszka dodał, że kombinezon podarował mu syn. Jest mechanikiem w stoczni.

Edward Redliński

Przyszłość powiatowej kultury

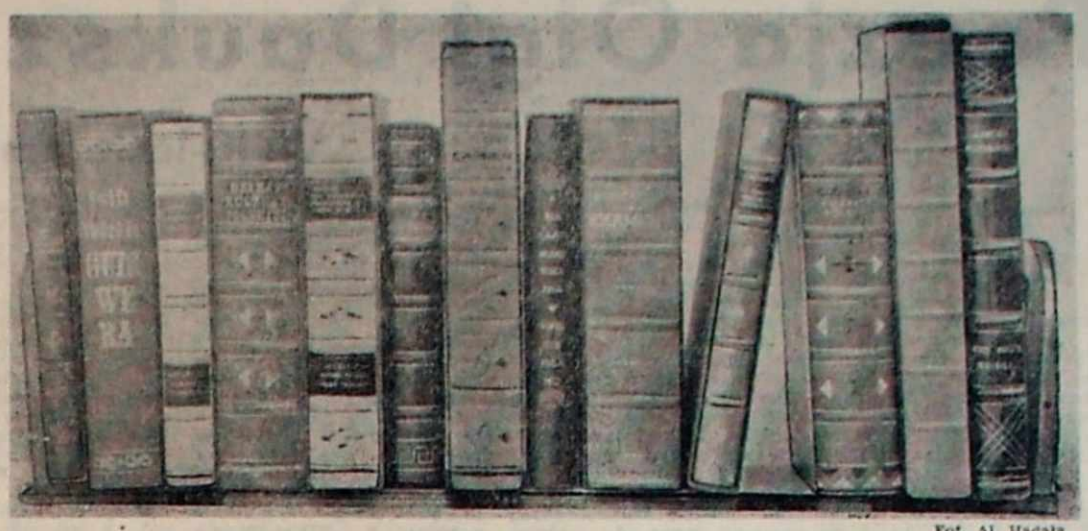

Fot. Al. Hadała

(Dokończenie ze str. 1)

czy Wielkiej Brytanii, gdzie bibliotekarstwo na drodze wszechstronnej pracy kulturalnej poczyniło olbrzymie postępy. W kraju znajdziemy również szereg optymistycznie nastrajających przykładów.

* * *

Półtoratysięczne miasteczko flisackie, Ulanów nad Sanem w pow. Nisko, swe życie kulturalne koncentruje wokół biblioteki, jedynej poza kinem placówki kulturalnej. O intensywności i oddziaływaniu biblioteki na społeczeństwo wcale nie zadecydowała wyjątkowość. Przecież miejscowości, gdzie istnieje tylko biblioteka, doszukać się można więcej, ale nie wszędzie stała się ona żywym centrum kultury. Melania Wójcik kieruje placówką już od 16 lat i dzięki swej pomysłowości i niestrudzonej pracy doprowadziła ją do rozkwitu. Przed laty zwerbowała kilku zapaleńców i wysłała ich z książkami do domów. Księgonosze grzecznie pukali, rozkładali książki, zachęcali. Nie wypadało odmówić. A gdy już książka była w domu, w wolnej chwili zaglądano do niej. Zaciekawiała, wyzwalała chęć przeczytania podobnej. Tak narastała więź mieszkańców miasteczka z książką i biblioteką. Dziś już księgonosze nie są niezbędni. Czytelnicy sami wolą zajrzeć do biblioteki.

Z biblioteki w Ulanowie korzysta ponad 1100 czytelników. Stanowi to aż ponad 70 proc. mieszkańców. Wielkość daleko wybiegająca ponad przeciętną krajową. Tu czytają wszyscy. I nie jest to jedynie statystyczny frazes. Owe niespełna 400 mieszkańców nie korzystających z bibliotecznych zbiorów to dzieci w wieku przedszkolnym. Pozostali, zarejestrowani w kartotekach, utrzymują z placówką stałe i intensywne kontakty. Na jednego czytelnika przypada w Ulanowie przeciętnie prawie 20 tytułów przeczytanych rocznie. Dużym zainteresowaniem cieszy się literatura popularnonaukowa.

W tym wyjątkowo rozczytanym środowisku w bibliotece udaje się wszystko. Spotkania autorskie nie tylko budzą zainteresowanie, ale można je odpowiednio przygotować. Giżyckiego, Wojtkiewicza, Lovella, Przybosia, Boguszewską i Kornackiego zaskoczyła, niespotykana gdzieindziej na wieczorach autorskich, znajomość ich twórczości i związanej z nią problematyki. Ale tu na długo przed imprezą popularyzuje się książki zaproszonego gościa. Czyta i dyskutuje się jego dzieła, a także sądy krytyków.

Przy bibliotece, oprócz kursów języków obcych, prelekcji i dyskusji nad książkami, działa dziecięcy zespół kukiełkowy, młodzieżowy zespół gitarzystów i kółko amatorskie grupujące młodzież i dorosłych, a próbujące swych sił w wystawianiu sztuk teatralnych. Wieczorem czytelnia zamienia się w wypełnioną po brzegi salę telewizyjną. Dziennik telewizyjny, sztuki teatralne i filmy cieszą się szczególną popularnością. Na uwagę zasługuje zespół czytelniczy, który indywidualne lektury swych członków podporządkował nakreślonym wspólnie prawidłom i ideom. Wybrane pod jakimś kątem pozycje nie tylko się czyta, ale także dyskutuje się nad nimi i uzupełnia nowo wyszukiwanymi tytułami.

Biblioteka w Ulanowie pozyskała wszystkich mieszkańców, ale wciąż rośnie nowe pokolenie i nie pozwala zaprzestać intensywnej działalności popularyzacyjnej. Dzieci i młodzież, jako przyszli dorośli użytkownicy zbiorów, stanowią główną troskę biblioteki. Dla nich, dla ich pozyskania, wyrobienia w nich trwałego nawyku czytania, prowadzi się szereg zespołów i zajęć. Filmy, przeźrocza, wieczory bajek, konkursy (np. „Ilustrujemy nasze ulubione książki" lub „Wędrujemy śladami dwudziestolecia"), są niebywałą atrakcją dla młodych ulanowiaków i stanowią niezawodną drogę do rozmiłowania ich w książkach.

Zaprezentowane tu przykłady działalności biblioteki w Ulanowie świadczą o jej wszechstronności i różnorodności. Bogaty wachlarz form i metod pracy łączy wspólny mianownik, którym jest książka. Ona bowiem stanowi impuls i cel. Przykładem niech będzie film „Dwaj w stepie" oglądany w telewizji. Przypomniał on bibliotekarce i czytelnikom o wetkniętej na półkę ich biblioteki i dawno nie ruszanej powieści, która posłużyła do opracowania scenariusza filmowego. Po jej przeczytaniu, przedyskutowaniu i skonfrontowaniu z filmem wydano nieubłagany werdykt: „Książka przewyższa film".

W Ulanowie istnieje tylko biblioteka. Ale również w miejscowościach, gdzie oprócz zbiorów działają inne placówki i zespoły, biblioteki stają się głównymi motorami poczynań kulturalnych, skupiając i jednocząc wszystkich zainteresowanych tą dziedziną życia. Praktyka uczy, że wychodzi to na dobre intensyfikacji kultury i pełniejszemu jej oddziaływaniu. Tak się stało we wsi Zarzecze w tym samym powiecie. Biblioteka uzyskawszy nowe pomieszczenie skupiła wokół siebie różne przejawy życia kulturalnego wsi, stając się jego ośrodkiem. Powiatowy konkurs higieny wzbudził zainteresowanie popularną literaturą medyczną. Prowadzony w ośrodku kurs gotowania wprawił w ruch książki z zakresu gospodarstwa domowego, a zespoły samokształceniowe PR i telewizyjny kurs rolniczy wzmogły wypożyczenia tytułów z zakresu uprawy i hodowli. Przypisanie niejako do biblioteki amatorskiego zespołu teatralnego, mającego za sobą pięćdziesięcioletnią tradycję, prowadzonego przez Franciszka Powenskę, otworzyło przed nim nowe perspektywy. Oprócz tradycyjnych prób i nowszych wyjazdów do teatrów, bibliotekarka weszła do niego z książką. Podsuwa do czytania życiorysy autorów wystawianych sztuk, pierwowzory scenicznych adaptacji oraz coś niecoś z historii bądź teorii teatru. Amatorom bardzo się to spodobało.

W Ulanowie i Zarzeczu znaleźli się ludzie, którzy teorię o bibliotece — jako ośrodku działalności kulturalnej — wprowadzili do codziennej praktyki. W miejscowościach tych nowatorzy natrafili na przychylny stosunek i zrozumienie miejscowych władz, bez których poparcia nie poczyniliby takich postępów. Ulanów i Zarzecze potwierdzają na wstępie wysunięte tezy. Przed bibliotekami rysuje się imponująca przyszłość. One stanowią placówki kultury jutra. W dziedzinie upowszechnienia kultury odegrają decydującą rolę. Nie chodzi tu o wyłączność, ale o nadawanie tonu, niejako o przywództwo, o wyznaczanie sposobów i metod, o wytyczanie dróg, korelację i współdziałanie. Biblioteki przecież dbają o upowszechnianie najtrwalszych i najbardziej cennych wartości. Każde przedsięwzięcie w dziedzinie kultury bez powiązania go z książką, bez współpracy z biblioteką będzie płytkie i doraźne. Już dziś widać to coraz wyraźniej. Czas sobie to uświadomić i stworzyć placówkom bibliotecznym odpowiednie warunki rozwoju. W świetle tego dziwią i niepokoją kłopoty lokalowe, finansowe i kadrowe licznych bibliotek. Przecież w wielu wypadkach władze terenowe ograniczają, lub co gorsza likwidują nawet fundusze na zakup nowości. Praktyka to małostkowa, krótkowzroczna i szkodliwa. Najwyższa pora fakt ten dostrzec i szerzej spojrzeć na problem upowszechnienia kultury.

Wojciech Jankowerny

JAN LOHMAN

Człowiek

stać się stanąć w słońcu tak
by cienia w zieleń
nie rzucić

wąż ślizga się spod kamienia
z kamienia woda wybiega
płynie po skale

i potem już niebieska
łódź w wodzie jak ryba
wznoszące się nad wodnymi różami
drzewa

na gałęziach głosy ptasie
rogożyna wyciąga w górę ręce
każdy palec w futerku
z bobra

dęby drżą
jak podczas trzęsienia ziemi
pod wodę uciekają ptaki
we frakach
przechodzi człowiek

kły uciekających zwierząt świecą
jak noże

nawet śpiew dziewczyny tutaj
głosem piły

Kraków

STANISŁAW CHACIŃSKI

fragment lasu

cóż jest
nad rośnięcie
drzewa

jego stopa głęboko nie ma nie
z chodzenia
w sobie jest utwierdzone drzewo
i gdzie stoi
gałąź na uwięzi wokół niego bywa
bo drzewo pragnie okrągło

to co że
w końcu
wychodzi
na stołu cztery nogi
albo nawet krzesła

Wrocław

JADWIGA WINNICKA

*
* *

Zanurzona w jesienną szarość
teleskopem okien
oglądam zielenienia zagładę
Betonowe kratery żyją
wybuchają codziennie
zalewają domy
kwiaty
ludzi
Wszystko co wokół i ja
w szarościach
w smutku
W moim ogródku betonowe róże
nie kwitną

Opole

łaj) ciągną dywizje 13 armii gen. Puchowa. W tym samym kierunku gna spod Przemyśla 3 armia pancerna gwardii dowodzona przez byłego attaché wojskowego ZSRR w Polsce gen. Rybałkę. Po drodze ludność wyzwolonych wsi i osiedli serdecznie wita wyzwolicieli, ale ci nie mają czasu na uroczystości. Przecież równolegle do nich, przez Rzeszów, Dębicę i Mielec wycofują się oddziały niemieckie. Za wszelką cenę nie wolno dopuścić do obsadzenia przez nie okopów za Wisłą.

Polscy chłopi patrzą na toczącą się stalową lawinę i kiwają głowami. Gdzie to wojsko, o którym mówiono im, że karabiny nosi na sznurkach? Przez wsie północnej Rzeszowszczyzny sunie na gąsienicach potęga, jakiej nikt nigdy nie widział, nawet w roku 1941, gdy hitlerowskie oddziały szykowały się do skoku na wschód.

Niemcy przegrali wyścig. Pierwsze oddziały radzieckie osiągnęły Wisłę tak szybko, że jak pisze w swoich wspomnieniach gen. Puchow *„na falach rzeki kołysały się jednocześnie łódki uciekających Niemców i tratwy radzieckich zwiadowców"*.

Pierwszy wyszedł na brzeg Wisły pod Baranowem Sandomierskim batalion kpt. Wiktora Jakuszewa. Jego zwiadowcy — także dwójka Wiktorów — Sobolew i Marynin szybko przepłynęli na drugi brzeg, gdzie spotkali... polskich partyzantów. Z ich pomocą wybrali miejsce przeprawy i — już pod ostrzałem hitlerowców — wrócili.

Opis innego faktu współpracy polskich patriotów z żołnierzami Armii Radzieckiej w walce o przyczółek baranowsko-sandomierski znalazł się w *„Synu Rodiny"* z 10 sierpnia 1944 r.

„Następnego dnia saperzy przystąpili do budowy mostu. Inżynier wojenny Kliucznikow chodził po trawiastym brzegu rzeki, szukał odpowiedniego miejsca.

— Co pan szuka — (tak w oryginale, po polsku — W. Sz.) *spytał stojący na grobli Polak.*

Kliucznikow nie taił przed nim celu swoich poszukiwań.

— Drogi panie oficerze — z uśmiechem odpowiedział Polak. — Trudno było zbudować most od serca ruskiego do serca polskiego, a przecież został on zbudowany, zaś most za Wisłą, proszę pana, w naszych rękach.

Polak zbiegł z grobli i wziąwszy długi kij wskazał na rzece trasę mostu, która w swoim czasie była wyznaczona jeszcze przed wojną przez polskich inżynierów.

Robota zakipiała. Polak Jan Stawiński pracował razem z rosyjskim żołnierzem..."

Podczas przeprawy, na zwiadach, a potem niejednokrotnie nawet w walce przy boku radzieckich żołnierzy pojawiali się Polacy — partyzanci i mieszkańcy nadwiślańskich wiosek. Ich działalność zasługuje chyba na specjalną uwagę naszych historyków. Źródła radzieckie — zarówno dokumenty jak i relacje weteranów wojny — podkreślają wyraźnie ich rolę.

29 lipca pierwsi żołnierze radzieccy przepłynęli Wisłę pod Baranowem. Za nimi przeprawiła się kompania st. lejtnanta Stołbowa, która skupiwszy na sobie niemiecki ogień umożliwiła przeprawę całego batalionu. O zmroku na maleńkim przyczółku są już dwa bataliony piechoty, a o północy — cały pułk.

Następnego dnia idą za Wisłę całe dywizje z 13 armii oraz pierwsze czołgi armii Katukowa. 30 lipca przyczółek ma już 12 km szerokości i 8 km w głąb. Podczas gdy odpierano za nim zaciekłe kontrataki niemieckie, na Wiśle trwały gorączkowe prace przy przeprawie. 24 promy dostarczyły na lewy brzeg 182 czołgi, 11 transporterów opancerzonych, 55 dział i 94 samochody z amunicją.

Niemieckie dowództwo postanawia zlikwidować przyczółek. Ściągane pospiesznie rezerwy rzucają się do zaciekłych kontrataków na oddziały 1 i 3 armii pancernych gwardii i 13 armii gen. Puchowa znajdujące się na lewym brzegu Wisły. Jednocześnie na prawym brzegu od północy z Tarnobrzegu i od południa z rejonu Mielca idą dwa natarcia, których celem jest spotkanie się w Baranowie i odcięcie oddziałów radzieckich walczących na przyczółku. Szczególnie groźne jest natarcie spod Mielca, które dochodzi aż na przedpola Baranowa. Zatrzymają je pospiesznie rzuceni do walki motocykliści Katukowa, artylerzyści, oraz zmotoryzowani strzelcy Rybałki. Później do boju wchodzą oddziały 5 armii gwardii gen. Żadowa, który właśnie nadciągnął na przyczółek. Są tu stalingradczycy, żołnierze korpusu dowodzonego przez słynnego generała Rodimcewa. Oba niemieckie natarcia zostają odparte, a Niemcy przepędzeni i z Tarnobrzegu i z Mielca. W walce o to ostatnie miasto uczestniczyli też polscy partyzanci.

Tymczasem za Wisłą walki nadal przybierały na sile. Ciągnęły się one tygodniami, gdyż Hitler rzucał tu ciągle nowe posiłki (m. in. nowe czołgi tzw. *„królewskie tygrysy"*). Dopiero w końcu sierpnia dowództwo niemieckie doszło do wniosku, że nic nie wskóra i pogodziło się z istnieniem przyczółka, który w styczniu 1945 r. stał się jednym z dwu punktów wyjściowych wielkiej ofensywy, doprowadzającej wojska radzieckie aż nad Odrę.

Poezja Olgi Daukszty

W 10-lecie śmierci

Z NAZWISKIEM Olgi Daukszty, poetki przebywającej poza granicami Polski w Dynaburgu zetknąłem się po raz pierwszy w „Wiadomościach Literackich", gdzie Stefan Napierski bardzo pochlebnie ocenił jej pierwszy zbiorek „Dźwina o zmierzchu" (1930). W trzy lata później ukazały się też w Dźwińsku „Błękitne inicjały".

Otrzymawszy — nie pamiętam w jaki sposób — adres Daukszty zwróciłem się do niej z propozycją współpracy w „Kamenie". Wtedy, w r. 1934, nawiązała się między nami korespondencja, która trwała pięć lat. Ciekawej osobowości emanującej zarówno z listów poetki, jak i jej wierszy poświęciłem kilka stron w swoich wspomnieniach „W kręgu Kameny". Współpracowniczką tego miesięcznika była Olga Daukszta od nr 1 rocznika II debiutując tam pięknym wierszem „Babka Alona" (przedruk w antologii „Poezja polska 1914—1939). Do wybuchu wojny w pięciu rocznikach „Kameny" ukazało się 18 jej utworów, należała więc do grona najbardziej czynnych przyjaciół i współpracowników tego pisma. Na interesującą poetkę zwrócono w Polsce uwagę: wiersze jej znalazły się również w „Pionie" i „Skamandrze". W „Bibliotece Kameny" ukazał się w r. 1937 trzeci jej zbiorek „Walet kierowy", poświęcony wyłącznie liryce miłosnej. Książka to nierówna, obok doskonałych, czasem śmiałych i zbyt ekshibicjonistycznych wierszy zawiera utwory słabsze i zbiorek zyskałby bardzo, gdyby go zredukować do połowy. Ale stanowczo nie miał racji K. W. Zawodziński, który w „Roczniku Literackim" 1936 zbyt lekceważąco wyraził się o tym „pamiętniku 32-letniej kobiety do 23-letniego chłopca wątpliwej konduity", określając te „niedbałe wiersze" jako „genre romans cygański na poziomie artystycznym A. Własta".

Kiedy w wydanych w ub. r. redaktorskich wspomnieniach fragment poświęcony Oldze Daukszcie zakończyłem zdaniem: „może ktoś z czytelników będzie mógł mi napisać o jej losach", nie spodziewałem się, że moje życzenie znajdzie bardzo szybki odzew. W parę miesięcy po ukazaniu się mej książki otrzymałem list od p. Pelagii Girwic, dawnej, przedwojennej uczennicy poetki z autorytatywnymi informacjami o ostatnich latach życia jej nauczycielki. W okresie wojny, którą spędziła ze staruszką matką w Dynaburgu, cierpiała niedostatek, a nieraz i głód. W r. 1946 nie wróciła do Polski jako repatriantka, lecz pozostała nadal w Dźwińsku, gdzie nawet przez rok pracowała w szkole polskiej. Po zlikwidowaniu jej przeszła na skromniutką rentę. Straciła w tym czasie matkę. Ciężkie położenie materialne, osamotnienie, wreszcie nieuleczalna choroba — złożyły się na ten smutny okres jej życia. Zmarła we wrześniu 1956 r.

Mimo niezmiernie trudnych warunków zarówno w czasie wojny, jak i po niej Olga Daukszta kontynuowała pracę literacką. W jej puściźnie znajduje się utwór „Nike polska". W zamieszczonym w tym numerze sonecie „Rzeka" z niewydanej trylogii poetyckiej „Alojzy Gryf Paulucci" poetka mówi o tym, jak „co dzień wygląda cudu, a może tylko klęski, by poznać, kim jest(em) w świecie". Patriotyczny poemat „Nike polska" pełen cierpienia z powodu właśnie tej „klęski" przekonał niezbicie Dauksztę, że jest „w świecie" Polką, choć oderwaną od rdzenia ojczyzny, ale nie mniej boleśnie odczuwającą w dawnych Inflantach to wszystko, co przeżywały jej siostry w Poznaniu, Warszawie czy Krakowie. Jakżeż odbija nastrój tego bolesnego utworu od erotycznego egotyzmu „Waleta kierowego", od przepychu fantazji w „Alojzym Gryfie Paulueciim". Ale artystycznie „Nike" jest słabsza. Poetka stara się jak najwszechstronniej oddać naszą martyrologię wojenną i okupacyjną i z uszczerbkiem dla samej poezji często wpada w historyzm a nawet w publicystykę.

W dziesięciolecie zgonu poetki zamieszczamy kilka jej wierszy zarówno z wydanych drukiem zbiorków, jak i z rękopisu. Pragniemy w ten sposób nie tylko uczcić pamięć kilkuletniej współpracowniczki przedwojennej „Kameny", ale również zwrócić na nią uwagę instytucjom wydawniczym z myślą, że zainteresują się wartościowym dorobkiem poetki i wydając wybór jej celniejszych utworów przypomną o niej miłośnikom poezji.

K. A. J.

(Bibliografia: „Dźwina o zmierzchu" (1930), „Błękitne inicjały" (1933), „Walet kierowy" (1937), poemat „Łada" — Skamander zesz. XCIII—XCV 1938, „Alojzy Gryf Paulucci" — w maszynopisie, „Nike polska" — w rękopisie, „Uniwerek" — satyry — odpis z rękopisu; maszynopis opowiadań „Żywioły i zmysły" prawdopodobnie zaginął)

Wspomnienia

(Z poematu „Pańszczyzna")

Ja go nazywam: diuk Aksel Paulucci,
choć jest markizem, w Litwie zwą go grafem.
To wszystko jedno. W okręcie „Vespucci"
markiz omija koralową rafę,
okręt się chwieje, wiatr tropików huczy,
ocean spina w szafiru agrafę.
Śpią na pokładzie Negry i Malaje,
pustynie znikły, prędko Himalaje.

Graf dwa miesiące bez nagłej przyczyny
płynie przez burze, strefy, wiatry, prądy,
patrzy, jak w wodzie pluszczą się delfiny,
na horyzontach jak idą wielbłądy.
Aksel jest smutny. Okrętowe liny
skręcają w kłębek oceany, lądy,
a biała czapla z północy lecąca
niby kotwica o duszę potrąca.

Graf szuka pilnie na wschodzie, zachodzie —
ojczyzny dziadów, dawnych bohaterów,
wszystko obejrzał, lądy, morza, łodzie,
ocean szepcze: „incognita terra",
a przecie we śnie w ojczystym ogrodzie
błąka się dusza, tęskniąca chimera.
Paulucci widzi odblask słońca słaby,
wiosnę i rzekę i płynące łajby.

Szary kraj, ludzie wpółnadzy, w kołtunach,
ciągną wprzągnięci piersią ciężkie szkuty,
wiosna rozzłaca niebo w zimnych łunach,
jakaś pieśń płynie, niewolników nuty
dźwięczą więziennie. Ziemia drży w piorunach.
Sen się odmienia, ziemię znaczą druty
pająkiem czarnym, ziemię grafa ojca,
a nad nią stoją trzy wylękłe słońca.

Łąka pokryta jaskrem, białym mleczem,
pasą się na niej krowy i jagnięta,
mała pastuszka chodzi wśród owieczek,
bardzo maleńka, niby jakaś święta,
nogi skrwawione, czyżby ostrym mleczem?...
Graf się obudza... Czy to pachnie mięta
w ogródkach Litwy? Nie, to ziemia dyszy
gdzieś w tropikalnej podcejlońskiej ciszy...

Jutrznia w Colombo? Nie, to śnieg skrwawiony
płatami w oczy... I widmo młodości
zamyka raptem słoneczne Cejlony,
okręt się chwieje wśród śniegów białości,
przywozi grafa w rodzinne gdzieś strony,
spękanej roli, szarej codzienności.
O ziemio, ziemio dziadów kondotierów!
Czyżby ojcowska, a może Homera?

To obca ziemia? Wolnych czy najmitów?
Czy niewolników? Krwią nasiąkła cała.
Niebo nie włoskie i horyzont ciemny
i śnieg zdradziecki jak opończa biała
na sercu krwawym. Trud ciężki, daremny —
zapomnieć o niej. Dumą napęczniałą
wrosła w sen grafa. I w świetle Kastora
Aksel zobaczył na śniegu Hektora.

Naprawdę leżał jak Hektor przeszyty
w gardło i serce Jur, syn Sakowicza,
w dworze Komary przez zbirów zabity
z moskiewskich pułków, których siąd caryca
słała szpiegować sejm Rzeczypospolitej,
tych zaś czekała jak dżumy stolica.
Generał major, carycy oddany,
miał wcielić w pułki też swoich poddanych.

Poszli Łotysze z Pilskalna, Szenberga,
poszli Litwini z Birży, Poniewieża
i starowiercy brodaci z Warenga.
Polacy nie szli. I z twarzą rycerza
legł chłop Sakowicz z krwawiącą się wstęgą
niby orderem, a krew młoda, świeża,
dawno sczerniała na śniegu i piachu,
lecz leżał miesiąc dla innych postrachu.

Grały nad zmarłym śnieżne zawieruchy
i kostniał nagi, a w lochach podziemia
poddani z Komar zakuci w łańcuchy
gnili w wilgoci. Noc stała niema
nad zamkiem grafa. Białe śniegu puchy
pełzły po drogach z wojskami ruskiemi.
Markiz Paulucci, generał carycy,
chodził schmurzony w szenberskiej świetlicy.

Mieszkał tu stale pośrodku Łotyszów,
chwalił tych chłopów za siłę i trzeźwość,
że nigdy o nic nie proszą, nie słyszą,
jak świat szaleje. Nie lubił za rzeźwość
polskich poddanych. Czytają i piszą,
modlą się głośno i patrzą w bezbrzeżność,
czegoś szukają. Generał był ruski,
zrodzony z Włocha i księżniczki pruskiej.

A więc w świetlicy markiz zagniewany
chodził posępny. Syn Aksel z Londynu
tylko co wrócił i na śnieżne łany
patrzył przez okno, gdzie już pod lawiną
spoczął Sakowicz z dobrodziejstwem rany.
Wtem weszedł rządca z zalęknioną miną:
„Stary Sakowicz tu prosi o ciało
zmarłego wnuka" — rzekł rządca nieśmiało.

Syn Aksel zadrżał. Zaś major generał
spojrzał na sługę. Ten stuknął o drzwiczki
saksońskiej szafki, pot z czoła ocierał
i w tył się cofał. Warknęły charciczki.
W ganku generał na chłopa spozierał,
ten padł mu do nóg. A łzy przez policzki
biegły z ócz ślepych na buty majora,
Aksel usłyszał: wyła suka Nora.

Charciczka biała skomiła pod knutem
angielskim pięknym markiza starego.
Sakowicz płakał nad losem swym lutym
i prosił: „Grafie, daj mi zabitego,
bym go pochował". Lecz major pchnął butem.
Stuletni Polak do końca samego
toczył się z schodów. Wark leciał charciczek
i Aksel poczuł na twarzy policzek.

Bił go nie ojciec, lecz Hektor z Iliady...
Więc młody markiz utopił źrenice
w oblicze ojca, gdy ten wchodził blady,
z twarzą wiernego majora carycy.
Aksel stał przed nim. I raptem dźwięk szpady
ruskiej łamanej zazgrzytał w świetlicy.
Potem się chwiała na odrzwiach portiera,
Aksel swą służbę skończył oficera.

Major się zaśmiał. „C'est paillasse, maleczyszka!"
mruknął pod nosem. Potem syn odjeżdżał.
To wszystko Aksel zobaczył tak z bliska
na oceanie... gdy Ammon rozgwieżdżał
południk w nocy... Droga Mleczna śliska
przecięła niebo, jakby magów wieszczba
o niemożliwem; fosforyzowała
woda na morzu, dymiła i drżała.

Rzeka

Brązowe, spalone, ciężkie pod czołem dźwigam powieki,
bo mocno, zazdrośnie dawniej prababki moje kochały,
były tam Minny, Danuty, a nawet Tatarki Aiły,
i płyną we mnie spiętrzonej ich krwi purpurowe rzeki.

Więc niosę w swoich arteriach wschody, zachody, świat cały,
dlatego przymknięte, ciężkie, zmęczone moje powieki,
i marzę tylko o świętych, o czystym zdroju skądś z Mekki,
gdyż babki moje po ludzku, śpiesząc, zazdrośnie kochały.

Bezsilna jestem, znużona, a mieszkam w mieście hanzejskim,
gdzie nie ma wcale Ojczyzny, są tylko wąskie uliczki,
toż oczy mam szarosine — w szklance zawiędłe goryczki.

I co dzień wyglądam cudu, a może tylko klęski,
by poznać, kim jestem w świecie, podnieść przymkniętą powiekę,
by spojrzeć w siebie najgłębiej, w czerwoną, odwieczną rzekę.

Gryf

Gryf ci na imię, Miłości moja — Gryf złotoskrzydły,
on zdeptał rankiem pola i wiosenne łąki
i moje w nich zebrane przylaszczkowe pąki,
że wianuszki z nich zwite do cna mi obrzydły.

Gryf ci na imię, Miłości moja — Gryf sępiooki,
on wydziobał ów topaz białemu jagnięciu,
aby nie uwierzyło ni słońcu, ni szczęściu,
aby było tak ślepe jak górne obłoki.

Gryf ci na imię, Miłości moja — Lew, Sęp i Godło,
gdy błyszczy miedzią ryte i krwią nakrapiane,
jak dziedzictwo kosztowne od ojców mi dane,
jak znamię po pożarze, co pierś mi przebodło.

Gryf ci na imię, Miłości moja — Skutek i Przyczyna,
że kocham Baśń i Barwę, co w palcach mi dzwoni,
że kocham Skrzydła, Siłę i Rozpęd stu koni
i Ból, co się nie kończy, a wciąż się zaczyna.

(Z maszynopisu książki „Alojzy Gryf Paulucci")

Na gwiaździstym wozie

O, siostry Parki, o siostry Parki!
W dal najszczęśliwszą niosą mnie barki.

To z waszej woli, dobre Sybille,
wczoraj przeżyłam najsłodsze chwile.

Na białym śniegu pod gwiazd zasłoną
czułam na swoich jego ramiona.

I jakby na dnie słonecznej barki
szczęście mną chwiało. O, siostry Parki!

Wasze wrzeciona, wasze wrzeciona
jak w sieć mię wplotły w jego ramiona.

Szeptem zduszonym, szeptem najszczerszym
w usta mi swoje wcałował wiersze:

„W tym roku tylko Pan Bóg mię stworzył,
ten rok jest dla mnie ekstazą bożą".

Tak mi powiedział całując w nocy,
gdy Wóz gwiaździsty mknął ku północy.

(„Walet kierowy" 1937)

* * *

Jeszcze się bronią oddziały gdyńską podparte załogą.
Zielony półwyspie Helu, ostatni poddasz się wrogom!
Generał Unrug dowodzi. Szkoła morska u celu!
Jest przecież za co umierać, żywiczny półwyspie Helu!

Życie jest piękne co prawda. Morzami szumi, dalą,
lecz śmierci też przecież nie ma, gdy ciało kryje się falą,
ciało granatem rozdarte, prądom rzucone na żery,
płynie jak polski pancernik, krew — amarantem bandery.

(„Nike Polska")

STEFAN WOLSKI

Ten dzień i następne

PRZYJECHAŁ już dobrze pod wieczór. Udało mu się: w dwuosobowym domku campingowym było jeszcze miejsce. Pozwolono mu nawet zaparkować motocykl.

Do celu poprowadził go kilkunastoletni, bardzo grzeczny chłopczyk. Camping nie był oświetlony. Pewno, że nie było to wygodne, ale miało swój urok; z różnych stron obozu raz po raz dobiegały stłumione śmiechy, od czasu do czasu dźwięknęła też gdzieś struna gitary, albo zabłysła zapalona zapałka.

Pchając naprzód za przewodnikiem swoją wuefemkę, przybysz uśmiechnął się do siebie. Tak, to było bardzo urocze, wprost urzekające. Zrobiło mu się lekko na sercu i już prawie zapomniał, że przed kilkunastu minutami, po całodziennej jeździe czuł się, jak przysłowiowy rozbity garnek. Mimo wieczornego chłodu było mu ciepło. Na moment przystanął i rozpiął kombinezon pod szyją i spojrzał w kierunku masywnej, ciemnej ściany drzew. Zaledwie można było domyślić się, że to las.

Chłopczyk zatrzymał się.

— To tutaj, proszę pana — powiedział.

Odwrócił się na pięcie i zrazu wolno a potem biegiem oddalił się w stronę skąd przyszli.

Przybysz popatrzył za chłopcem i znów uśmiechnął się. Potem rozejrzał się za odpowiednim miejscem na zaparkowanie pojazdu. Zajrzał na tyły domku, gdzie widać było czarny zarys krzewów. Ze zdziwieniem stwierdził, że znajdował się tam już czyjś motocykl.

— Hm... — mruknął i nachylił się, żeby rozpoznać markę. Motocykl okryty był brezentową płachtą. Uchylił jej nieco. — Wygląda na wuefemkę.

Wrócił na alejkę po swój motor i zaprowadził go za tylną ścianę campingu i sprawnie ustawił na nóżkach, tak żeby miał również oparcie o ścianę. Potem rozsznurował wiązania plecaka, zdjął go, wyjął koc z niego, jak z koperty, wyciągnął igelitową płachtę, którą okrywał zawsze motor na dłuższym postoju. Przykucnąwszy, pogrzebał w plecaku i wydobył świecę i przybory toaletowe. Spojrzał krytycznie na milczące, drewniane ściany domku pomalowane, jeśli dobrze rozpoznawał w ciemności, na kolor czerwony, żółty i chyba zielony. Dwa zupełnie ciemne okna patrzyły na niego w milczeniu, jakby wyczekiwały, co też dalej zrobi.

Z niejakim wahaniem podniósł z ziemi swój bagaż i wszedł na niewielki ganeczek, po czym zastukał delikatnie. Nasłuchiwał, ale nikt mu nie odpowiedział, zastukał więc jeszcze raz i nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte. Pchnął je więc ostrożnie i wszedł. W ciemności z lewej strony dobiegało chrapanie.

Przybysz zamknął drzwi i stał, zastanawiając się, czy zapalić świecę, czy też po ciemku poszukać łóżka i położyć się byle jak. Żałował, że zapomniał latarki elektrycznej.

— Noc szybko przeleci — myślał — a jeśli zapalę świecę obudzę tego faceta.

Postąpił ostrożnie w prawo i wyciągnął rękę. Było tu łóżko. Przesunął ręką po kocu i wymacał zagłówek. W ciemności lśnił białą plamą. Odchylił koc i zobaczył biel prześcieradła. Usiadł na brzegu i zaczął rozbierać się, jak mógł najciszej. Patrzył przy tym na rozgwieżdżone niebo, które było widać przez szyby. Za okienkiem na prawo dostojnie potrząsała wysokim czubem sosna. Było cicho, jak wspaniale, jak cudownie cicho... Ta cisza to był chyba najcenniejszy dar tego urlopu, który po raz pierwszy w życiu postanowił tak właśnie spędzić.

Ubranie położył na plecaku i z westchnieniem ulgi wyciągnął się jak długi pod chłodnym prześcieradłem, które dodano pod koc. Przez chwilę leżał na wznak, z rękoma pod głową. Podobnie jak każdy jeździec, zakochany w swoim metalowym mustangu, ostatnimi, przedsennymi myślami był przy nim. Czuł w nerwach równy spokojny rytm pracy silnika, który przeniknął go na wskroś w czasie tej długiej drogi. Zdawało mu się, że trzyma boki motocykla w lekkim uścisku kolan, zupełnie jak konia. Jak dobrze, kiedy wiatr owiewa twarz i zdmuchuje ze skóry ostre pocałunki słońca. Trzeba go będzie jutro wymyć z kurzu, nasmarować „polerem" i wyglansować do lśnienia. Niech cieszy oczy jego piękna, „wiśniowa pleć"... Uśmiechnął się i powtórzył w myślach: „...wiśniowa pleć...". Okazuje się, że czasem nonsens może mieć jednak jakieś znaczenie, i to wcale przyjemne i jak najbardziej zrozumiałe.

Westchnął i obrócił się na prawy bok, zapadając od razu w głęboki sen.

Kiedy ocknął się, słońce stało już wysoko na bezchmurnym niebie. Sąsiednie łóżko było starannie posłane. Usiadł i spojrzał na zegarek, który miał na ręku. Była już ósma godzina.

— Coś takiego!... — wykrzyknął ze zdumieniem, boć nie zdarzyło mu się od wielu, wielu lat, ażeby wstał tak późno. Normalnie o tej godzinie już siedział za swoim biurkiem i wyciągał z szufladek papierzyska.

Wyskoczył na podłogę, zasznurowując ciaśniej slipy. Co się stało z sąsiadem? Spojrzał na zasłane łóżko, na plecak przygotowany do drogi z kocem przytroczonym sposobem wojskowym, później rozejrzał się dokładnie po niewielkim pokoiku. W kącie stało wiadro napełnione wodą i miednica jeszcze wilgotna od niedawnego użycia.

A więc nie słyszał nawet, jak ten jegomość się mył. Ładne rzeczy. Potrząsnął z niedowierzaniem głową. Taki sen... Najwidoczniej była to jednak jakaś prawidłowość, związana z całodziennym przebywaniem na powietrzu, ze zmęczeniem i z tą ciszą.

Szybko wyciągnął przybory do golenia, podręczne lusterko, ręcznik, mydło i przybory do mycia zębów. W ciągu niespełna dwudziestu minut był już gotowy do wyjścia. Z pewnym wahaniem wyciągnął z plecaka pomięte nieco szorty i koszulę z krótkimi rękawami i z otwartym pod szyją kołnierzykiem. Na nogi nałożył nowe trampki wyłożone wewnątrz gąbką. Przyjrzał się im krytycznie, ale były naprawdę ładne. Miały zielone cholewki i białe sznurówki. To wyglądało wspaniale. Przed wyjściem wapiął się na palce i wyjrzał przez okno. Podumał chwilę, wrócił do plecaka. Wyjął maszynkę spirytusową. Wlał do niej z butelki sporo denaturatu. Wyjął również menażkę, którą napełnił do połowy wodą. Włożył do tego duży kawałek kiełbasy, umywszy uprzednio skórkę i wyniósł to wszystko na dwór. Kiedy znalazł się przed domkiem, przystanął i przymrużył mocno powieki, bo jaskrawe i gorące promienie słońca uderzyły go wprost w oczy. Poszedł więc prędko na tył domku, gdzie był cień i tam umieścił maszynkę w dołku, który wygrzebał w piasku, po czym zapalił płomień, a menażkę nakrył blaszanym talerzem. Dopiero, gdy to wszystko zrobił, rozejrzał się dookoła. Przede wszystkim zobaczył, że wuefemka sąsiada była stara i obdrapana. Nie to, co jego maszyna. Popatrzył nieomal z czułością na tkwiący w cieniu swój motocykl.

— „Moja wisienka..." — pomyślał.

Spojrzał na całe obozowisko. Była to właściwie jak gdyby niewielka osada, składająca się z kilkudziesięciu domków campingowych, przeważnie wieloosobowych. Wszystkie prześlicznie pomalowane w różne barwy, czasem nawet szokująco kontrastowe, ale mimo to w jakiś sposób pełne wyrazu radości, jak gdyby beztroski i niejasnej obietnicy nie wiadomo właściwie czego, ale na pewno czegoś upragnionego.

Ponieważ jego domek znajdował się na niedużym zboczu, a reszta osady campingowej leżała niżej, patrzył stąd na całość i widział wszystko jak na dłoni.

Starannie wytyczone i wysypane piaskiem alejki, biegły między domkami jakby żywcem przeniesione z planu. Nisko, niedaleko budynku recepcyjnego, skupiło się obozowisko namiotów. Dojrzeć stąd można było maszt i chorągiew, która zwisała bezwładnie w dół. Gdzie niegdzie kręciły się pojedyncze postacie lub pary. Byli to wszystko młodzi ludzie, ubrani tak samo jak on w szorty a najczęściej w spodenki kąpielowe. Kobiety chodziły w barwnych plażówkach.

Zapowiadał się wspaniały, słoneczny i bezwietrzny dzień. Przybysz obrócił się w tę stronę, skąd widać było długie kiszkowate rozlewisko jeziora. Spływało na południe a na wschodzie wychodziło na olbrzymi przestwór wód. Na wschodnim brzegu wąskiego jeziora rozsiadło się gęsto zabudowane w głębi lądu miasto. Dokładnie widać było jasne mury domów i czerwonawe dachówki. Brzegiem biegł bulwar wzdłuż przystani parowców. Tam też widniało kilka skupisk namiotów i domków campingowych. Po gładkiej tafli jeziora śmigały łodzie motorowe. Jedna była szczególnie ścigła. Wyglądało tak, jak gdyby za chwilę miała wzbić się w powietrze. Mniej więcej w środku rozlewiska wodnego majestatycznie zataczały pełne wdzięku pętle i elipsy zgrabne żaglówki. Przy ciaśniejszych skrętach kładły się łagodnie nieomal całkowicie na boku i strzeliste ich maszty celowały wprost w dachy domów i w bulwary miasta, podczas gdy nad nimi nabrzmiewały obłe balony żagli.

Przybysz z podziwem potrząsnął głową. Jakże to jest, u licha, przecież wiatru nie ma nawet za grosz?... Patrzył jeszcze dłuższą chwilę na te popisy, a potem zainteresowały go całe flotylle kajaków. Wyglądały stąd jak garście zapałek rzuconych bezładnie na wodę, a każda zaostrzona była na obu końcach. Pływały też pojedyncze i widać było samotne kropeczki wioślarzy, a gdzie niegdzie dwie kropeczki poruszały niteczkami wioseł.

— Eee, to jezioro nie jest znów takie wąskie... — pomyślał przybysz. Na menażce zaczął podskakiwać metalowy talerz. Para z sykiem usiłowała zrzucić przeszkodę. Woda bulgotała niby gniewnie a niby wesoło.

Prędko skoczył po chleb i pomidory. Widelcem podróżnym, który w wojsku nazywali niezbędnikiem, wyłowił nabrzmiały, gorący i soczysty kawał kiełbasy, położył go na talerzyk który umieścił na rozpostartym ręczniku na ganku domku. Sam usiadł niżej na schodku i zaczął jeść, od czasu do czasu spoglądając w stronę jeziora.

Tak zastał go wysoki, młody brunet, który nadszedł od strony recepcji. Nosił tylko spodenki kąpielowe. Był wspaniale opalony na złoto-orzechowy, ciepły kolor. Oczy miał duże, przenikliwe i prawie zielone. Uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

— Przepraszam, że przeszkadzam w śniadaniu — powiedział uprzejmie — pozwoli pan, że przedstawię się, jestem Osiński... Czesław Osiński. Starałem się pana nie obudzić rano, spał pan jak niemowlę...

— Tyle że bez smoczka — zaśmiał się przybysz. — Ja też w nocy miałem podobne zadanie. Spał pan jak Jowisz po uciążliwych zalotach... Jestem Stanisław Samulak.

Uścisnęli sobie ręce.

— Pan już po śniadaniu? — zapytał Samulak.

Młody człowiek skinął głową.

— Na dole jest coś w rodzaju bufetu czy kantyny. Można tam to i owo kupić; i dają też gorące mleko. Do tego chleb z masłem i z serem... A na to wszystko trochę dżemu śliwkowego...

Podniósł rękę i pokazał dobrze już napoczęty szklany słoik.

— Ze wstydem muszę się przyznać, że przepadam za mięsem — powiedział Samulak.

Młody Jowisz zatrzymał nieco dłużej swoje zielone oczy na dosyć cherlawej postaci mężczyzny. Gołe i kościste kolana i chude łydki Samulaka świeciły nieskazitelną bielą skóry. Choć włosy ostrzygł bardzo krótko, zwłaszcza nad skroniami widać było, że są już dobrze szpakowate. Tylko twarz miał ogorzałą a spiczasty nos był czerwony od słońca i skóra na nim łuszczyła się obficie.

— Ja też lubię mięso, ale nie należy lekceważyć sera — dorzucił wesoło Osiński, kierując się ku drzwiom domku. — Zawiera witaminy i przedłuża młodość — dodał, znikając wewnątrz.

Samulak przeżuwał teraz nieco wolniej swoje porcje kiełbasy. Jakoś spochmurniał po ostatnich słowach bruneta. Ten za chwilę ukazał się znów i przykucnął obok, zapalił papierosa i życzliwie patrzył, jak przeżuwa kiełbasę zagryzając pomidorem, który maczał w soli.

— Pan tak samotnie?

Samulak skinął głową.

— Tak, zupełnie sam?... —

Samulak popatrzył na niego lękliwie.

— A no, tak mi się w życiu zdarzyło, że od paru lat żyję samotnie — powiedział cicho i odchrząknął.

— Aaa, przepraszam — szybko rzucił Osiński. — Cóż, trafił pan na wspaniałą pogodę — zmienił temat. — Zaczęło się przed dwoma dniami, bo przedtem lało jak z cebra. Dlatego stosunkowo mało jeszcze wczasowiczów... Szkoda, psiakrew, że już muszę odjechać.

Samulak spojrzał na niego ze współczuciem.

— A to rzeczywiście szkoda... Takie słońce... Ale widzę, że pan wspaniale opalony...

— Chwytało się każdą słoneczną chwilę, poza tym sporo pływałem. Na wodzie szybciej można się opalić. A pan pływa?

Tamten kiwnął głową.

— Może pan poinformować mnie, gdzie jest wypożyczalnia kajaków, bo ja tu po raz pierwszy?...

Brunet wstał i zwrócił się twarzą w stronę jeziora i miasta.

— Proszę spojrzeć, o tam, widzi pan taki piętrowy dom z dużym gankiem, tuż nad wodą, jakby jakiś stary dworek czy coś takiego...

Samulak popatrzył we wskazanym kierunku i kiwnął głową.

— No, więc tam właśnie wypożyczają kajaki. To jest dom wczasowy FWP, ale wypożyczają wszystkim byle tylko okazać legitymację związkową. Ma pan taką?

— Mam — potwierdził Samulak, a potem poprosił Osińskiego, żeby go zorientował w terenie. Więc młody człowiek wyciągnął ramię i zaczął objaśniać.

— Widzi pan to miasto? No więc to są oczywiście Mikołajki. To jezioro przed nami, to jezioro Mikołajskie, dalej na południe przechodzi ono w jezioro Bełdany, którym można dopłynąć aż do Rucianego. Tam w dali, na wschód ta ogromna woda — to jezioro Śniardwy. Tam nie wolno wypływać kajakiem. Zresztą nie warto, bo rzeczywiście niebezpiecznie. Zupełnie jak na morzu. Nie wiadomo skąd przylatuje nagle wielka fala i... — Machnął ręką. — Było już sporo wypadków. W każdym bądź razie nie radzę panu.

Samulak skinął głową.

— Najlepiej niech pan sobie poderwie jakąś babkę, będzie panu weselej. Popatrzył krytycznie na towarzysza i uśmiechnął się szeroko. — No to ja już rozwijam żagle — rzucił i znów znikł w domku, skąd po kilkunastu minutach wyszedł w kombinezonie i z plecakiem, który przymocował z tyłu swojej starej wuefemki na bagażniku.

— Muszę jeszcze zajechać po moją babkę. We dwoje zawsze weselej — mrugnął porozumiewawczo do Samulaka i wyprowadził motor na alejkę. Uścisnęli sobie ręce i Osiński zapuścił silnik, po czym wsiadł na siodełko i ostro ruszył z miejsca.

Samulak jakiś czas patrzył za nim, potem znów odwrócił się w stronę jeziora. Uczuł stamtąd na czole leciutki powiew.

— Nie ma co, trzeba iść po kajak. A może podjechać motorem?

Ściągnął z wuefemki płachtę igelitową, złożył ją i zaniósł do domku. Potem wrócił i z równą starannością usunął z motoru szmatkami wszelki ślad kurzu. Spróbował czy od razu zapali. Zapalił od pierwszego kopnięcia. Zadowolony, zgasił silnik i poszedł do domku po torbę podręczną, którą miał jeszcze z frontu. Stara, wysłużona, wojskowa torba. Bardzo przydatna, bo można było w niej przechować dokumenty, i to wszystko, co potrzebne było do pływania i do opalania się. Usiadł na siodełku i, oparty jeszcze jedną stopą o ziemię, przez chwilę słuchał jak pracuje silnik. W sercu miał wielką, wielką radość... Teraz jego życie znów było jakby pełniejsze, jakby jakaś luka, spowodowana czyjąś nieobecnością, została częściowo wypełniona. Lekko ścisnął w prawej ręce rączkę i powoli pokręcił nią puszczając równocześnie sprzęgło. Łagodnie ruszył z miejsca i za chwilę oddawał klucze w recepcji, a po kilku dalszych minutach był już przy wypożyczalni kajaków.

Jezioro, widziane z dołu, wyglądało zupełnie inaczej. Było przede wszystkim znacznie większe, szersze i tafla jego nie była wcale taka nieruchoma, jak to się wydawało na górze. Podszedł do mężczyzny w żółtej koszulce, który kręcił się przy kajakach.

— Można wypożyczyć kajak? — zapytał uprzejmie.

— A jakże, przecież po to są... Ma pan legitymację związkową?

Samulak ochoczo sięgnął do torby.

— ...i kartę pływacką?

— Kartę pływacką? — powtórzył Samulak z zakłopotaniem. — Ja umiem pływać — powiedział z wahaniem — ...ale karty pływackiej nie mam.

— No, to niestety, nie mogę panu wypożyczyć kajaka — rozłożył ręce mężczyzna.

Samulak zmartwiony opadł się o jeden z kajaków. Wszystkie osadzone były porządnie w specjalnych uchwytach, jeden nad drugim i wzdłuż, w specjalnie zbudowanych jak gdyby wieszadłach. Przechowalnię ochraniał dach, kryty papą.

— Jakąż pan widzi na to radę?... Tamten wzruszył ramionami.

— Chyba tylko pójść na plażę i tam u ratownika zdać egzamin pływacki. Jak pan zda, to dostanie pan od razu kartę, a ja wyszukuję panu cacy kajak, taki żeby nic a nic nie przepuszczał wody...

— Gdzież ta plaża?... — pytał zrezygnowanym głosem Samulak.

Po chwili jechał drogą którą wskazał mu mężczyzna w żółtej koszulce. Zaraz za miastem zobaczył plażę. Zjechał w lewo i umieścił motocykl pod barakiem, w którym było pomieszczenie ratownika i kabiny do przebierania się. Ratownik, mężczyzna w sile wieku, wielki niczym atleta, opalony na brąz, siedział na stołku pod barakiem i bacznie obserwował kąpiących się. Gdy któryś pływak przekroczył granicę oznaczoną linami, połączonymi z wielkimi czerwonymi bojami, natychmiast podnosił do ust gwizdek i przeraźliwy świst zawracał ze złej drogi niesfornego amatora dalekiego pływania. Przy brzegu kołysała się leniwie duża łódź. Samulak zauważył, że w pobliżu boi było bardzo głęboko, w każdym bądź razie widział, że pływający tam nie mogli zgruntować.

Spojrzał na ratownika, który w tej chwili leniwie przymrużył oczy.

— Czy pan może mi wydać kartę pływacką? — zapytał, podszedłszy blisko.

Siłacz otworzył oczy i przyjrzał się życzliwie Samulakowi.

— Chce pan zdać egzamin?

Samulak zawahał się, ale zaraz energicznie skinął głową.

— No to proszę za mną. Ubranie może pan zostawić tutaj.

Samulak szybko zrzucił koszulę, szorty i trampki, po czym poszedł za ratownikiem, który usiadł w łodzi. Zajął wskazane miejsce na dziobie i ruszyli. Łódź powoli popłynęła do boi. Siłacz złożył wiosła.

— 200 metrów stylem dowolnym — powiedział. — Ostatnie 50 metrów można na wznak... Ale najpierw proszę skoczyć z łodzi i znurkować; potem będzie pan płynął. No, proszę...

Białe, nie ruszone jeszcze przez słońce ciało Samulaka uniosło się nad dziobem łodzi. Nawet nie wie kiedy znalazł się w wodzie. Płynął jakiś czas pod powierzchnią, po czym wynurzył się, wydmuchał energicznie wodę z nozdrzy i zaczął płynąć żabką. Siłacz obserwował pływaka z łodzi. Ten przepłynął przez całą długość, wzdłuż lin i boi, po czym zawrócił, znowu przepłynął wzdłuż i znów zawrócił. Za trzecim razem szło mu już dosyć ciężko, i z przerażeniem zaczął zastanawiać się, czy sprosta zadaniu. A przecież, do licha, pływał nieźle i poszedłby nie wiedzieć o jaki zakład, że te 200 metrów przepłynie bez trudu. Za czwartym nawrotem ratownik odezwał się z łodzi:

— No, jak panu idzie?

— Dobrze. — powiedział zduszonym głosem, kilka razy rozgarnął jeszcze ramionami wodę i przeszedł do pozycji na wznak. Odpoczął trochę, ale płynął poruszając nieznacznie ramionami i stopami. Kiedy z powrotem przeszedł do pływania żabką, uczuł, że już jest całkiem niedobrze. W tym jednak momencie ratownik podniósł rękę i wskazał kierunek do brzegu.

Samulak z trudem podpłynął do płytszego miejsca i dotknął nogami gruntu. Stał przez dobrą chwilę, od-

(Dokończenie na str. 11)

Czarodziej skrzypiec w Szczawnie-Zdroju

W ZWIĄZKU z 131 rocznicą urodzin — w parku zdrojowym w Szczawnie odsłonięto pomnik słynnego na cały świat skrzypka z Lublina, Henryka Wieniawskiego, zwanego przez współczesnych czarodziejem skrzypiec. Jego imieniem nazwano również sam park oraz założony w tym czasie Oddział Dolnośląski Poznańskiego Towarzystwa Muzycznego. Dlaczego w Szczawnie?

Otrzymałem właśnie od dr Alfonsa Szyperskiego, mojego wspaniałego profesora polonistyki w przedwojennym gimnazjum w Środzie, jego pięknie wydaną broszurę „Henryk Wieniawski w Szczawnie Zdroju". Autor, przed wojną publikujący rozprawy z zakresu gwar ludowych i regionalistyki, po wojnie zaciekły badacz polskości na Dolnym Śląsku, odkrył na liście kuracjuszy z 1855 r. notatkę, że „4 sierpnia przyjechał p. W. H. Wieniawski z Lublina". Czy był to sam skrzypek, czy ktoś z jego rodziny — trudno dzisiaj ustalić.

Natomiast następny zapisek z 1875 r. nie pozostawia już żadnej wątpliwości: „Kuracjusz nr 1016, 8 lipca, pan Henryk Wieniawski, nadworny solista, kawaler wielu orderów, Lublin, Kursal, 1 osoba".

„Kursal" to był hotel kuracyjny w Szczawnie, które wówczas nazywało się Salzbrunn. Skrzypek przebywał tu dwa miesiące. Dzisiejsza tzw. biała sala to ówczesna sala koncertowa, w której Wieniawski występował trzykrotnie, niezależnie od prywatnych wieczorów w małym saloniku. Przyjechał z Poznania, gdzie dał wielki koncert na cele społeczne.

Dr Szyperski odnalazł także recenzje z pierwszego koncertu. Ludwik Niemojewski, literat i etnograf, tak m. in. pisał w „Gazecie Warszawskiej" z 5 sierpnia: **„Pan Wieniawski w każdym wykonywanym przez siebie ustępie wybija się z tłumu koncertantów czymś wyrazistym, które do niego wyłącznie należy... Nadto p. Wieniawski posiada swą powagę w grze, ową, że tak powiem, godność artystyczną, która stroniąc od nowoczesnych błyskotek i afektowanej miary, objawia się w spokojnym pociągu smyczka, w tonie jasnym i pełnym zawsze".** Podobnie entuzjastycznie pisał krakowski „Czas" 8 sierpnia. Na tym samym koncercie śpiewała dysponująca głosem o dwóch i pół oktawach Maria Orpiszewska. Ówczesny recenzent napisał **„niegdyś ulubiona uczennica Chopina".** Chodziło po prostu o Marię z domu Wodzińską, w której kolejno kochali się Słowacki i Chopin.

Wśród 220 słuchaczy było tylu Polaków, że „Czas" dodawał: **„Piastowskie czasy tej dzielnicy Śląska powrócić się zdały. Nie masz zakątka dawnej Rzeczypospolitej, która by kontyngensu swego nie była dostawiła. Spacery przy źródle, reuniony, koncerta, wszystko to tak zapełnione Polakami, że innej mowy prawie nie słychać".** Ze Szczawna Wieniawski pojechał na dalszą kurację nad atlantycki brzeg Francji.

Tak więc do życiorysu naszego sławnego skrzypka wypadnie dopisać kilka zdań, które będziemy zawdzięczać dr Szyperskiemu.

(dost)

500-lecie II pokoju toruńskiego

Historia i refleksje

GDZIE ten Napoleon nie zamieszał! W Paryżu, Rzymie, Moskwie, serduszku pani Walewskiej — i w Toruniu. Zaledwie bowiem przybył do tego miasta w 1812 r. wezwał rajców miejskich, aby mu pokazali dom, w którym urodził się Kopernik. Rada miejska zebrała się w popłochu, nikt bowiem nie wiedział, w którym domu imć pan Mikołaj ujrzał słońce, któremu później kazał się zatrzymać. Znano bowiem tylko ulicę. Aby jednak uniknąć kompromitacji, wybrano najładniejszy dom przy tej ulicy i tam zaprowadzono cesarza. Później jakieś rzekomo naukowe towarzystwo niemieckie powiesiło na tym domu tablicę pamiątkową, a zamieszkały tam Niemiec począł pobierać opłaty od turystów, pokazując nawet meble, które miały służyć przyszłemu geniuszowi astronomii.

Sprawa wyświetliła się dopiero w okresie międzywojennym. Młody uczony polski Karol Górski, dziś profesor historii na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika, zaczął się grzebać w różnych dokumentach, odnalezionych w jakimś zakamarku i ustalił bezspornie, że Mikołaj, syn Mikołaja Kopernika, urodził się coś 100 m dalej. Przez jakiś czas na obu kamieniczkach wisiały pamiątkowe tablice, aż w czasie ostatniej wojny Niemcy, milczkiem potwierdzając ustalenie polskiego uczonego, pierwszą tablicę zabrali do Rzeszy.

Siedzę teraz z profesorem w kawiarni „Pod modrym fartuszkiem". Budynek ma coś koło pięciu wieków. Kiedyś mieściła się tu gospoda czeladników, dziś przychodzą raczej mistrzowie — profesorowie, inżynierowie, doktorzy... Jest oczywiście i piwo, są pierniki, ale największym powodzeniem cieszą się teraz serniki i wspaniała kawa, podawana w glinianych filiżankach. Doliczamy się, że mija właśnie 28 lat od chwili, gdy młody absolwent UJ zainteresował się w Poznaniu sprawą krzyżacką i zdumiał się wtedy, jak uboga jest w tej dziedzinie polska historiografia. Poświęcił się więc badaniom w tej dziedzinie. Trudno streścić bogaty dorobek naukowy profesora, który jest dziś największym autorytetem, jeżeli chodzi o znajomość stosunków polsko-krzyżackich.

— Za początek Torunia zwykło się uważać akt lokacyjny z 1233 r. — mówi prof. Karol Górski. — Ale wykopaliska pokazały, że znacznie wcześniej na tym miejscu istniała osada polska Rybitwy, w rejonie dzisiejszej ul. Rybaki. Już w epoce kultury łużyckiej, a więc gdzieś 3 tysiące lat temu, był tu zapewne gródek obronny. 150 lat temu historyk królewiecki Johannes Voigt ogłosił aż 9-tomowe „dzieło", w którym gloryfikował „misję cywilizacyjną" Krzyżaków. Ta pełna kłamstw książka stała się również jednym ze źródeł hitlerowskiej polityki. Voigt nazwał II pokój toruński zdradą Niemców, którzy później wskutek ucisku spolszczyli się. Najpierw więc Bismarck, a potem Foerster twierdzili, że także przymusem trzeba zniemczyć tych spolszczonych Niemców.

— Trudno tu omawiać, panie profesorze, całą 13-letnią wojnę polsko-krzyżacką od inkorporacji Prus do I pokoju toruńskiego. Może więc tylko o kilku sprawach. Przede wszystkim — jak osądzić ówczesną politykę Kazimierza Jagiellończyka? W podręcznikach historii można spotkać bardzo różne opinie.

— Król był wtedy młody, miał zaledwie 30 lat. Dla dodania sobie powagi — jak dzisiejsza młodzież — nosił brodę, którą zresztą później zgolił. Na zewnątrz był zawsze pogodny choć małomówny, ale w postępowaniu uparty, konsekwentny, twardy. Osobiście był bardzo odważny, ale równocześnie pozbawiony talentów wojskowych. Współcześni mówili o nim: JKMość niczego nie żąda, zawsze prosi. Ale ta prośba równała się rozkazowi.

— II pokój toruński był niewątpliwie wielkim sukcesem Polski. Czy jednak nie było wówczas możliwe zlikwidowanie zakonu krzyżackiego lub jego całkowite usunięcie z tych terenów?

— W tych czasach w dziedzinie wojskowej istniał wyścig między pociskiem a pancerzem. Wygrywał pancerz. Ale on był bardzo kosztowny. Pospolite ruszenie wojowało głównie mieczem. Pancerze dawały przede wszystkim wojska zaciężne. A król polski był biedny. Proszę porównać: jego dochody roczne wynosiły 50—100 tysięcy dukatów, podczas gdy król węgierski miał 400 tysięcy, neapolitański 500 tysięcy, a francuski 700 tysięcy. Krzyżacy dzięki bezwzględnemu wyzyskowi ludności oraz dużym dobrom w Niemczech też byli bogatsi od polskiego króla. A jednak i im zabrakło pieniędzy na opłacenie wojsk zaciężnych. W wojskach tych doszło nawet do buntu, na którego czele stanął Ulryk Czerwonka z Czech. Tak więc pod koniec wojny 13-letniej obie strony były wyczerpane — finansowo i psychicznie.

— Może kilka słów o samym podpisaniu pokoju?

— Pertraktacje toczyły się na łąkach po drugiej stronie Wisły. Były trzy namioty. W jednym pełnomocnicy króla, w drugim wielkiego mistrza, w środku legat papieski Rudolf, który pochodził z Rüdesheimu nad Renem, a był biskupem terenów, tworzących dzisiejszą Austrię. Polacy z Krzyżakami rozmawiali wyłącznie przez legata. Krzyżacy mimo wszystko wykazywali mało ustępliwości. Król Kazimierz powiedział wtedy legatowi: im się dłużej rokuje, tym dalej od pokoju. Przestraszony legat zaczął mocniej naciskać, Krzyżacy znów nieco ustąpili. Ale właśnie wtedy, w sobotę, król otrzymał wiadomości, że poddały się Chojnice. Kazimierz Jagiellończyk pragnął odczekać, aby ta wiadomość doszła do wielkiego mistrza Ludwika von Erlichshausena, znajdującego się w Chełmnie. Ponieważ król nie mógł się namyślać w niedzielę, sprawa przeciągnęła się do poniedziałku i wtedy wielki mistrz zgodził się już na odstąpienie Polsce Malborka.

— Jak należy, zdaniem pana profesora, ocenić ten traktat?

— W ówczesnych warunkach był on swego rodzaju kompromisem. W porównaniu z aktem inkorporacji Prus z 1454 r. pokój toruński z 1466 r. stanowił pewne cofnięcie się. Ale odzyskanie Pomorza Gdańskiego, Ziemi Chełmińskiej i Michałowskiej oraz części Prus z Malborkiem i Warmią realizowało główny cel polskich dążeń — swobodny dostęp do morza. Powrót nad Bałtyk umożliwił Polsce wejście na polityczną arenę całej Europy, a nie tylko, jak dotychczas, jej wschodniej części.

— Ciekawi mnie, czy w czasie swoich badań natknął się pan profesor na ludzi z naszych rejonów?

— Pospolite ruszenie obejmowało oczywiście tereny dzisiejszych województw wschodnich. Szczególnie licznie w wyprawach brała udział szlachta chełmińska. Pamiętam nazwisko tamtejszego starosty Pawła Jasieńskiego czy rodzinę Litwosów, która później przybrała nazwisko Kaznowskich. A głównym sprawcą — jeżeli tak można powiedzieć — zwycięstwa polskiego był podkomorzy sandomierski Piotr Dunin. Pochodził z drobnej szlachty, a sztuki wojennej uczył się gdzieś na zachodzie. Zwłaszcza zdobywania miast i zamków obronnych. W r. 1461 stanął na czele, głównie już zaciężnych, wojsk królewskich. Zdobył Świecie, Łasin, Golub, pokonał Krzyżaków w dużej bitwie nad jeziorem Żarnowieckim, po raz pierwszy w Polsce prowadząc równoczesne operacje konnicy i piechoty. To on do końca wojny kierował działaniami, które doprowadziły do oswobodzenia całego rejonu dolnej Wisły. Była nawet zwycięska bitwa na Zalewie Wiślanym koło Elbląga.

— Mówiliśmy już, że traktat toruński był swego rodzaju kompromisem, a jednocześnie, że Kazimierz Jagiellończyk był znakomitym dyplomatą. Czy kompromisy rzeczywiście są dowodem znakomitej dyplomacji?

— To zależy. W konkretnym wypadku rzecz m. in. polegała na tym, że wielki mistrz stawał się lennikiem króla polskiego, chociaż w dokumentach nie było o tym ani słowa. Ludwik witał króla Kazimierza na klęczkach, on i jego następcy składali przysięgę, która w istocie była potwierdzeniem tego lennego stosunku. Chwilowy kompromis doprowadził przecież do upadku zakonu krzyżackiego w 1525 r. Do tego czasu zakon istniał, ale jeżeli zgłaszali się Polacy, zakon nie mógł odmówić ich przyjęcia, jeżeli nie przekraczali oni połowy stanu liczebnego.

Bardzo ważne było również inne, trzy razy w traktacie powtarzane postanowienie. W ówczesnych stosunkach nie można było odrzucić całkowicie i jawnie ingerencji papiestwa, któremu zakon krzyżacki zawsze podlegał. W traktacie postanowiono jednak, że będzie on obowiązywał nawet, jeżeli nie uzyska konfirmacji papieża, ówczesnego lub któregokolwiek z następnych. Proszę, nich pan przeczyta jeden z końcowych ustępów traktatu — świadczy on przecież o dużej odwadze króla Kazimierza i przełamaniu przez niego na tym odcinku hegemonii papiestwa, która była tak szkodliwa dla interesów Polski: *„Obiecujemy również bez podstępu i oszustwa oraz zobowiązani złożoną przysięgą, że nie uciekniemy się do autorytetu żadnego żywego człowieka, jakimkolwiek by błyszczał dostojeństwem — papieskim, cesarskim, królewskim, książęcym — ani do jakiegokolwiek legalnego zgromadzenia osób kościelnych lub świeckich — aby uzyskać rozwiązanie, zerwanie, uchylenie albo unieważnienie niniejszego pokoju, przymierza i układu, ani w całości, ani w części, ani wyraźnie i jawnie, ani skrycie, ani sami, ani przez jakiekolwiek podstawione osoby duchowne lub świeckie... ani nie uprosimy absolucji, ani zwolnienia z przysięgi złożonej"...*

— Hm, ciekawe, czy Hitler czytał ten traktat przed rozpoczęciem wojny... Dziękuję bardzo panu profesorowi, że pomiędzy urlopem a wyjazdem do NRD w poszukiwaniu dalszych dokumentów znalazł pan czas na rozmowę z przedstawicielem „Kameny". Myślę, że teraz łatwiej zrozumieć sens traktatu, który po 36 latach był ukoronowaniem zwycięstwa pod Grunwaldem.

→

DZIEŃ DOBRY SZKOŁO!

(Dokończenie ze str. 1)

Dosyć jednak tych smutnych wspominków, choć i z późniejszych, szarych i trudnych lat powojennych niejedno utkwiło w pamięci bolesną zadrą.

Spędziłem w szkole tylko cztery lata, to tak krótko, ale wtedy lata wypełnione lekcjami od dzwonka do dzwonka przeżywało się wolniej. Nasza szkoła zawsze miała opinię dobrej, na wysokim poziomie. Poziom ten udało się utrzymać także i w pierwszych latach powojennych, kiedy przecież o nauczycieli nie było łatwo. Niewątpliwie dużo w tym zasługi ówczesnego dyrektora, Michała Bojarczuka, kierującego szkołą do dziś, świetnego, utalentowanego organizatora i wychowawcy.

Michał Bojarczuk — chłopski syn spod Zamościa, krewny braci Pomarańskich, którzy przed wojną wnieśli znaczny wkład do kultury Zamościa — to nie tylko długoletni dyrektor szkoły, ale to także nasz kolega, jeden z pierwszych jej uczniów.

Szkoła zawsze miała szczęście do dobrych dyrektorów. Takim był niewątpliwie Kazimierz Lewicki, jej organizator i pierwszy dyrektor, późniejszy dyrektor Gimnazjum Św. Anny w Krakowie. Lewicki zasłużył się Zamościowi także jako jeden z założycieli Koła Miłośników Książki, jako jeden — obok Zygmunta Klukowskiego — z żarliwych jej propagatorów także na gruncie szkolnym.

Jego zastępca Adam Szczerbowski — poeta, krytyk i bibliofil, przyjaciel i pierwszy monografista Leśmiana, to również człowiek dla Zamościa i jego kultury ogromnie zasłużony. Był m. in. jednym z organizatorów Książnicy Literackiej, wydawanej przez Koło Miłośników Książki, należał też do Redakcji „Teki Zamojskiej", był również współpracownikiem „Kameny".

I wreszcie ostatni dyrektor Michał Bojarczuk, wychowanek i godny następca Kazimierza Lewickiego, utrzymujący dobre imię szkoły, która według jego słów jeszcze w dwudziestoleciu kształciła tyle wiejskiej młodzieży, że można by ją nazwać chłopskim gimnazjum. Bojarczuk to także autor zarysu dziejów szkoły, wydanego przed kilku laty w Lublinie, to także jeden z inicjatorów założenia w gmachu szkoły, byłej Akademii Zamojskiej, filii UMCS.

Nasze liceum nie z nazwy tylko było ogólnokształcące. Jeżeli ja, zakuty humanista (od siedmiu boleści, od siedmiu!) mam dziś niejakie pojęcie o geologii, biologii, chemii, czy matematyce niewątpliwie zawdzięczam to szkole, nauczycielom.

Spośród moich nauczycieli kilku chociaż chciałbym tu wspomnieć. Najpierw, oczywiście, profesora Pieszkę, vel „Marszałka", jak go zgodnie z przedwojenną jeszcze tradycją nazywaliśmy.

Michał Pieszko, geograf, geolog, historyk i wielki miłośnik Zamościa, wychowanek Uniwersytetu Jana Kazimierza, uczeń Romera i Dembińskiego (asystent tego ostatniego) odszedł w czerwcu tego roku na zasłużoną emeryturę, przepracowawszy w naszej szkole pięćdziesiąt lat. Niezapomniana to postać. Niewielkiego wzrostu, ruchliwy, w pumpach, zawsze z małą pałeczką, nie wchodził ale wbiegał do klasy. Za nim szło zazwyczaj kilku uczniów: jeden nieodmiennie taszczył globus, drugi skrzynkę z minerałami, inny jakieś mapy czy tablice. W klasach, gdzie tradycje były żywsze, witano go okrzykami: globus i pałka to symbol „Marszałka", cześć „Marszałkowi"!

Wykłady profesora Pieszki czy to z geologii, z paleontologii czy z geografii gospodarczej były fascynujące. Profesor miał dar zainteresowania przedmiotem największych nawet nieuków. Kiedy zmęczyliśmy się notowaniem, rzucał krótko: minuta przerwy! Minuta nieraz się przeciągała, gdyż wyciągaliśmy go na wspominki, zarzucaliśmy pytaniami.

Królestwem „Marszałka" był gabinet geograficzny, jego staraniem zamieniony w małe muzeum osobliwości. Profesor Pieszko był założycielem i opiekunem szkolnego Koła Krajoznawczego, jako członek tego koła przez dwa lata oprowadzałem po Zamościu szkolne wycieczki (cóż za raj kiedy można się było urwać z matmy!). Mistrzem w oprowadzaniu wycieczek, niezrównanym gawędziarzem był sam Profesor. Niewątpliwie wiele koloryzował, wiele faktów upiększał, zabytki postarzał, wieże podwyższał, ale wszystko ad maiorem gloriam Zamościa. (O historycznych zainteresowaniach prof. Pieszki pisałem przed kilku laty w „Kamenie").

Obok niego, drugą charakterystyczną postacią był prof. Stefan Miler, biolog — nieżyjący już, niestety, od kilku lat. Uczestnik walk o szkołę polską, wychowanek uniwersytetów szwajcarskich, był prof. Miler żarliwym patriotą.

Znawca i miłośnik przedmiotu, umiejący nim zainteresować i zachwycić, był prof. Miler założycielem jedynego chyba w Europie szkolnego ogrodu zoologicznego, (Dziś miejski ogród zoologiczny im. St. Milera). W młodszych klasach chodziłem tam z paru kolegami karmić niedźwiedzie.

Z innych nauczycieli chciałbym tu przypomnieć nieżyjącą już dziś Leokadię Jackiewiczową (matkę znanego pisarza), zwaną przez nas „Bukwa". Jej zawdzięczam, że udarenije mam nie najgorsze i do dziś pamiętam (na izust) parę stron z „Oniegina".

Jakże by też nie wspomnieć o profesorze Wł. Borkowskim, fizyku o przezwisku „Piksafon". Kochany to i pełen zacności człowiek. Pamiętam, jak kiedyś (notorycznie nie pisałem zadań z fizyki) ubolewał nade mną: dziecko drogie, twoja matura jest pod znakiem zapytania. (Ale jakoś poszło — prawda kochany profesorze! — sam mi Pan podpowiedział przy tablicy na ustnym, w krytycznej chwili). Innym razem, kiedy przypadkiem powtórzyłem cały materiał, postawił mi czwórkę, krzycząc „groźnie" spod okularów: czego tu jeszcze stoisz, uciekaj!

Matematyki uczyła nas „Frania", młoda jeszcze wówczas nauczycielka, Franciszka Zalińska, charakterystycznie „zaciągająca" po kresowemu (ty Królikowski, ty nie uczyszsia matimatiki — istotnie tak było), usiłująca wtłaczać w nasze oporne umysły cosinusy i tangensy.

Spośród kilku polonistów przypomnę Stanisławę Zochowską-Kunową, zmarłą przedwcześnie. Uczyła mnie tylko w XI klasie, ale urokom, jakie potrafiła wydobyć z przedmiotu, zawdzięczam m. in. kierunek moich studiów. Prof. Kunowa była w czasie wojny organizatorką i nauczycielką tajnego nauczania, „komiwojażerką oświaty" — jak się podpisała w księdze pamiątkowej dr Klukowskiego.

Prof. Jan Kuna, jej mąż, długoletni nauczyciel historii, Jeremi Dargan, zmarły przed kilku laty nauczyciel angielskiego, obrońca Tobruka, to również wykładowcy z prawdziwego zdarzenia, przyjaciele i wychowawcy młodzieży.

Nauczyciel gimnastyki, Eugeniusz Hajkowski, fanatyk sportu i wychowania fizycznego, był jednocześnie czas jakiś komendantem szkolnego hufca PW. Jego następca, kpt. Lawgmin (prof. Pieszko nie mógł nigdy wymówić jego nazwiska: Lammhbmin — mawiał) radiotelegrafista z Dywizji Kościuszkowskiej, jest podobno dziś — po skończeniu studiów — nauczycielem chemii.

Doborowym zespołem byli nasi nauczyciele, wspomnieni wyżej i ci nie wymienieni, lecz nie mniej drodzy. Szkoła zawsze umiała dobierać sobie grono pedagogiczne. Dość powiedzieć, że nauczycielami w niej byli (przez krótki co prawda czas) Maciej Rataj, działacz ludowy i mąż stanu, marszałek Sejmu, zamordowany w Palmirach i Stanisław Młodożeniec, znany poeta-futurysta i działacz w zakresie kultury ludowej, zmarły przed kilku laty. Uczniów na ogół też nie ma się co wstydzić kochana stara buda.

Przede wszystkim wymienić tu trzeba by tych, których nazwiska zdobią murowaną tablicę w dawnym kościele szkolnym; poległych i pomordowanych. Wymienię choć jedno, przykładowo: nazwisko Leona Zdzisława Stroińskiego — „Marka Chmury", jednego z tych co sztuce i narodowi umieli służyć piórem i krwią. Stroiński, świetnie zapowiadający się poeta, przyjaciel Gajcego, jeden z pokolenia „Kolumbów" poległ w powstaniu warszawskim, jego wiersze wydało przed kilku laty Wydawnictwo Lubelskie.

Także i dziś spośród uczniów naszej szkoły w każdym zawodzie są cenieni specjaliści, na wysokich nieraz stanowiskach. Nie brak ich też w literaturze. Uczniami naszej szkoły byli np. Stanisław Kasprzyśiak, zdolny prozaik, czy też Urszula Kozioł (z „żeńskiej strony"), dobrze zapowiadająca się poetka.

* * *

Stara, lecz ciągle młoda buda obchodzi we wrześniu złoty jubileusz. Zjadą się wychowankowie, poleje się wino, ale zapewne poleją się też łzy, czyste rzęsiste.

Na zakończenie jedno jeszcze, pozornie nie związane z tematem wspomnienie. Kiedy przechadzam się renesansowymi korytarzami starej budy, wśród sylwetek nauczycieli i kolegów widzę jeszcze jednego starszego pana z siwą bródką, dr Zygmunta Klukowskiego. Przychodził do swego syna, czekał gdzieś na korytarzu na dzwonek, gwarząc sobie z dyrektorem. Nie znałem go za życia. Lecz dziś jemu także mówię: dzień dobry, Stary Doktorze! Dzień dobry, Stara Szkoło!

Bohdan Królikowski

(Dokończenie ze str. 10)

Na zakończenie wizyty toruńskiej poszedłem jeszcze nad Wisłę, gdzie przetrwały resztki zamku krzyżackiego. Właśnie atakiem toruńskiego mieszczaństwa na potężny zamek zaczęła się w lutym 1454 r. wojna trzynastoletnia. Zamek został wkrótce zdobyty i niemal całkowicie zniszczony. Część cegły zabrano na budowę domów, z reszty powstało ogólnomiejskie śmietnisko.

— W całości ocalało tylko tzw. gdańsko, fragment murów i wieża, w której mieściły się — ustępy. W okresie międzywojennym podejmowano próby uporządkowania terenu, ale wojna przerwała pierwsze próby — mówi konserwator miejski mgr Bohdan Rymaszewski. — W roku 1958 powstał społeczny komitet, który organizacyjnie i finansowo zajął się całą sprawą. Okazało się, że sterczące tuż nad ziemią mury były nie parterem, ale trzecią kondygnacją. W owym śmietniku, zakrywającym cały parter i wielkie piwnice, znajdujemy wiele ciekawych rzeczy, chociażby komplet kilkudziesięciu fajek.

— Wygląda na to — mówię — że odbudowujecie zamek...

— Nie. Odkrywamy tylko to, co można jeszcze znaleźć. Te ruiny będą naturalnym pomnikiem. Częściowo odbudowaliśmy tylko piwnice, w których będą organizowane różne ekspozycje, w dawnej fosie urządzamy teatr letni, nieco wyżej plac zabaw dla dzieci. Tuż obok resztek zamku na starych murach kończymy budowę lekkiego pawilonu. Wenątrz będzie mieściła się kawiarnia, na dachu duży taras z widokiem na resztki zamku i murów obronnych, stare miasto i Wisłę. To będzie jeden z najładniejszych widoków miejskich w Polsce.

— Podobno szykujecie tu jakąś sensację...

— Nie wiem, czy to można nazwać sensacją. W każdym razie będzie to pierwsza w Polsce impreza „Światło i dźwięk". Mamy już ruchome reflektory, zainstalowaliśmy 3 km kabli, jest gotowa maszyna elektronowa, która będzie kierowała całością. Autorem projektu jest, całkowicie społecznie, pracownik Pomorskich Zakładów Wytwórczych Aparatury Niskiego Napięcia p. Chrystek.

Pomnik — zamek i jego przepiękne otoczenie zostały oddane do użytku w czasie uroczystości obchodu 500-lecia zawarcia II pokoju toruńskiego w połowie września br. Całe piękno najlepiej podziwiać od strony Wisły — co właśnie zrobił autor, odpływając z Torunia statkiem w górę rzeki.

Jerzy Dostatni

od BIEBRZY po BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

◆ Z okazji 23 rocznicy powstania w getcie białostockim społeczeństwo Białegostoku złożyło hołd pamięci powstańców.

◆ W latach 1961—1965, z samego tylko funduszu gromadzkiego, w woj. białostockim przebudowano 130 km polnych szlaków na wygodne drogi, którymi przebiegają obecnie linie komunikacyjne PKS.

◆ W białostockim Klubie MPiK oraz w salonie Związku Polskich Artystów Plastyków w Białymstoku otwarto wystawę litografii Józefa Pakulskiego z Warszawy.

◆ Ukazał się w sprzedaży przewodnik — informator po Białymstoku. Wydawcą jest WKKFiT i Miejskie Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej.

KIELCE

◆ 13 i 14 sierpnia odbyły się w Studziankach uroczystości z okazji 22 rocznicy zwycięskiej bitwy polskiej brygady pancernej im. Bohaterów Westerplatte z pancernymi wojskami hitlerowskimi. W uroczystościach uczestniczyli m. in.: sekretarz KC PZPR Władysław Wicha i dowódca Warszawskiego Okręgu Wojskowego, gen. dyw. Czesław Waryszak.

◆ Konkurs na pomnik Bohaterów Ziemi Kieleckiej — rozstrzygnięty. Ogółem wpłynęło na konkurs 68 prac. I nagrodę (18 000 zł) przyznano za pracę oznaczoną godłem „Jodły".

◆ Prawie 60 proc. kieleckich wsi korzysta już z energii elektrycznej. Coraz więcej wsi otrzymuje także połączenia telefoniczne. W bieżącym roku, kosztem 3 mln złotych, zainstaluje się telefony w 87 wsiach.

LUBLIN

◆ 15 sierpnia zmarł w Lublinie prof. dr Konstanty Strawiński, wybitny naukowiec, jeden z założycieli UMCS.

◆ 150 studentów, członków kół naukowych uczelni lubelskich, przeprowadziło w sierpniu, w powiecie zamojskim, wielokierunkowe badania naukowe. Był to pierwszy tego rodzaju studencki obóz naukowo-badawczy.

◆ Chór „Echo" z Lublina, uzyskał na międzynarodowym festiwalu chórów w Debreczynie (Węgry) dwa medale; chór męski — złoty, a chór mieszany — srebrny medal.

◆ W Lublinie bawiła grupa filmowców rumuńskich, z reżyserem Mircea Muresan na czele. Odbyła się uroczysta premiera filmu „Pałace w płomieniach" wg. powieści Liviu Rebreanu.

RZESZÓW

◆ W Przewrotnem na Rzeszowszczyźnie, w dniu 14 sierpnia, dokonano odsłonięcia obelisku wzniesionego dla uczczenia pamięci 111 partyzantów i mieszkańców tej wsi, zamordowanych przez hitlerowców podczas trzykrotnej pacyfikacji w latach 1942—1944.

◆ Od 1 do 25 września trwają w powiecie gorlickim Dni Folkloru Podgórza i Dni Gorlic. W obchodach Dni bierze udział szereg zespołów regionalnych.

◆ W 18 szkołach podstawowych Rzeszowa w nowym roku szkolnym rozpoczęło naukę 12 188 uczniów.

◆ Muzeum Historyczne w Sanoku posiada jeden z najbogatszych i najcenniejszych w Europie zbiór ikon. Ostatnio niektóre z nich były eksponowane w Recklingshausen (NRF).

Miesięcznik Literacki

UKAZAŁO się w sprzedaży nowe pismo — „Miesięcznik Literacki". Pismo różni się od „Twórczości", „Dialogu" czy „Poezji" przede wszystkim różnorodnością publikowanych materiałów. Na 128 stronach czytelnicy znajdują bogaty i urozmaicony materiał ze wszystkich dziedzin kultury: oryginalną twórczość literacką, eseje, artykuły, reportaże, recenzje i informacje. Współczesną prozę prezentują zarówno opowiadania, jak i najcenniejsze fragmenty książek pisarzy polskich i zagranicznych. W każdym numerze artykuły, eseje i noty omawiające twórczość poszczególnych pisarzy i najważniejsze zjawiska literackie sezonu ukazujące związki literatury ze współczesnym życiem. Znajdą tu odbicie również problemy innych dziedzin sztuki: plastyki, teatru, muzyki.

Sprawy ideologiczno-społeczne, problemy kultury masowej — to drugi, podstawowy dział tematyczny nowego pisma. Również i tej tematyki pismo nie ogranicza do spraw wyłącznie polskich. Równorzędnie czytelnik „Miesięcznika" będzie mógł poznać problemy nurtujące kraje Wschodu i Zachodu. Jako nowość w prasie kulturalnej — pismo zamierza publikować w szerokim zakresie materiały dokumentalne — pamiętniki i archiwalia.

Pełniejszą ocenę i zrozumienie dokonujących się w świecie przemian politycznych, społecznych i kulturalnych ułatwią reportaże polityczne z wszystkich krajów Europy, obu Ameryk i krajów Trzeciego Świata.

„Miesięcznik Literacki" poinformuje ponadto swych czytelników o najnowszych osiągnięciach polskiej i światowej nauki w dziedzinach najbliższych każdemu człowiekowi.

W pierwszych numerach czasopism czytelnicy znajdą m. in. prozę, artykuły, eseje i wspomnienia Andrzeja Brychta, Ernesta Brylla, Bronisława Gołębiowskiego, Juliusza W. Gomulickiego, Konstantego Grzybowskiego, Liddei Harta, Tadeusza Hołuja, Dominika Horodyńskiego, Jarosława Iwaszkiewicza, Zenona Klemensiewicza, Zenona Kosidowskiego, Janusza Krasińskiego, Bogusława Leśniodorskiego, Włodzimierza Maciąga, Iwana M. Majewskiego, Kazimierza Michałowskiego, Tadeusza Nowaka, Witolda Nawrockiego, Mieczysława Porębskiego, Jerzego Putramenta, Lucjana Rudnickiego, Juliana Starzyńskiego, Wilhelma Szewczyka, Mieczysława Wejmana, Włodzimierza Zinna, Wojciecha Żukrowskiego, Stefana Żółkiewskiego.

Cena egzemplarza — zł 10. Pismo można nabywać w klubach międzynarodowej prasy i książki oraz w innych punktach sprzedaży „Ruchu". Jedynym sposobem zapewniającym stałe otrzymywanie miesięcznika jest prenumerata, którą przyjmują urzędy pocztowe, listonosze oraz oddziały i delegatury „Ruch" w terminie do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Można również dokonywać wpłat w w/w terminie na konto PKO Nr 1-6-100020 Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" — Warszawa, ul. Wronia 23. Warunki prenumeraty: miesięczna — zł 10; kwartalna — zł 30; półroczna — zł 60; roczna — zł 120.

Ten dzień i następne

(Dokończenie ze str. 9)

poczywając, po czym poszedł za ratownikiem, który już wysiadł z łodzi i skierował się do swojego pomieszczenia. Gdy wszedł za nim do środka, tamten już przyszykował czysty blankiet karty pływackiej i pióro.

— Proszę siadać — wskazał krzesło. — Jak nazwisko?...

Spisywał starannie dużymi literami dane personalne Samulaka. Kiedy ten na pytanie: „rok urodzenia", powiedział „1910", ratownik przestał pisać i uważnie przyjrzał się mężczyźnie który przed chwilą zdał egzamin pływacki.

— Eeee, to wcale nieźle — powiedział ciepło. — Widziałem dużo młodszych, którzy wysiadali...

— I mnie nie było łatwo. — Widzi pan, dopiero przyjechałem na urlop z miasta i nie mam zaprawy..

Po tym egzaminie pojechał do gospody, zjadł obiad a następnie poszedł po kajak, zostawiwszy motocykl na parkingu.

— No, jak tam? — spojrzał na niego z ciekawością mężczyzna w żółtej koszulce.

— Szafa gra — uśmiechnął się Samulak i wyciągnął z torby kartę pływacką.

— Ile pan dał?

— Normalnie, tyle, ile kosztuje karta.

— Tak, tak... ale co, może pan pływał?

— No, naturalnie. A jakże by inaczej?

Mężczyzna podrapał się w głowę.

— Można było przecież nie pływać, tylko... — Nie dokończył a Samulak ze zrozumieniem i politowaniem pokiwał głową.

— Myślę, że jednak lepiej popływać — powiedział z przekonaniem.

Zanieśli kajak na brzeg i Samulak umieścił koło siebie korkowy pas ratunkowy. Wskoczył do środka i odbił. Woda zaszemrała, zaszeptała wzdłuż burty kajaka. Wziął wiosło do rąk i miarowo zaczął ją rozgarniać po obu stronach. Wkrótce wypłynął na środek a stamtąd bliżej do zachodniego brzegu, który był porośnięty sosnowym lasem. Kiedy był już dość blisko, przestał wiosłować i z zapartym oddechem patrzył na wspaniały widok z wody. Mógł stąd widzieć na tle czystego błękitu nieba pierzaste sylwetki sosnowych czubów, jak gdyby zanurzonych w błękicie i w słońcu. Niżej lśniła intensywna barwa brązowych pni a w głębi czaił się mrok i tajemnica.. Potrząsnął głową. A więc zaczął wspaniałe, cudowne wczasy w Mikołajkach. Och, na pewno jeden dzień będzie piękniejszy od drugiego, aż się opali, aż z płuc ujdą ostatnie zanieczyszczenia, które przywiózł tu z wielkiego, dusznego i hałaśliwego miasta.

Ten dzień jest już przecież piękny. A następne...

Stefan Wolski

SAMOOBRONA

(Dokończenie ze str. 3)

W zachowanych z tego zakresu źródłach chyba jedną z pierwszych wiadomości na temat Majdanka zawiera tzw. *„Aneks"* (wydawnictwo konspiracyjne Delegatury) za okres 16—30 listopada 1941 roku. Podaje on, że *„obóz w Lublinie liczy około 15.000 jeńców (radzieckich* — przyp. aut.). *Codziennie umiera 50—100 ludzi. SS-mani zdejmują z umierających ubrania i zostawiają ich nagich na mrozie, a po godzinie dobijają"*. Odtąd w dokumentach z tego okresu pojawia się raz po raz nazwa *„obóz na Majdanku"*. Wiadomości z tego zakresu były różnorodne, obszerne i w wielu wypadkach, dziś można je zweryfikować, wierne i autentyczne. Nasuwa się zatem pytanie, co wiedziała konspiracja o obozie na Majdanku. Wiadomości z tej dziedziny uszeregować można w następujące grupy: rozpoznanie charakteru obozu i warunków tam panujących, warunków bytowania więźniów, stanu przychodzących i odchodzących transportów, eksterminacji więźniów, pomocy więźniom, dane liczbowe o stanie więźniów, stany i nazwiska niemieckiej załogi, likwidacja obozu, dane o ruchu oporu na Majdanku itp.

W sumie przekazany przez dokumenty obraz obozu na Majdanku jest dowodem ogromu zbrodni, jakich dokonał okupant hitlerowski na więźniach kilkunastu narodowości.

Odrębne zagadnienie stanowi sprawa ruchu oporu na Majdanku i łączności z nim z zewnątrz obozu. Jakkolwiek poza grypsami historyk nie rozporządza źródłami bezpośrednimi, to jednak wiele źródeł pośrednich zawiera nieco wiadomości na ten temat. W tej mierze niezmiernie interesujące jest *„Sprawozdanie dotyczące pobytu na Majdanku za okres od 1 do 31 grudnia 1943 roku"* kontrwywiadu z okręgu lubelskiego AK. Powstało ono bezpośrednio po wymordowaniu w listopadzie 15 tysięcy Żydów w obozie na Majdanku i jest odbiciem myśli i dążeń więźniów — rozbicia obozu". *Wszystkie przeżycia w grudniu* — czytamy w nim — *koncentrowały się około zbrojnego ruchu wśród więźniów na Majdanku. Celem tego ruchu — wydobycie się, ewentualnie walka o lepszą śmierć"*. Dalej dokument mówi, że inicjatorem tej akcji była organizacja Związek Orzeł utworzona z inicjatywy uwięzionych działaczy Polskiej Partii Robotniczej. Autor tego dokumentu stwierdza następnie: *„akcja ma charakter poważny, obejmuje nie tylko członków wymienionych organizacji, lecz również niezrzeszonych. Całość mniej więcej można liczyć na 1000 ludzi"*.

Sprawa odbicia więźniów z obozu na Majdanku była niejednokrotnie rozważana (pisał o tym Z. Mańkowski w dodatku do „Sztandaru Ludu" „Kultura i Życie" nr 40 i 42 z 20.X i 30.XI.1963 r.) przez organizacje konspiracyjne, w konsekwencji jednak akcji takiej zaniechano ze względu *„na jej nierealność"*. Więźniowie jednak nie traktowali tej sprawy w kategoriach *„realne"* czy *„nierealne"*, myśl uwolnienia z obozu była bazą, na której zawiązał się ruch oporu w obozie. *„Przygotowujemy się do kroków* — czytamy dalej we wspomnianym dokumencie — *które będą z naszej strony nie tylko aktami rozpaczy, lecz samoobrony. Nie mamy wyboru. Wiemy, że stanowisko naszych władz jest przeciwne wszelkim rozruchom, lecz my walczymy nie o życie, bo go tu łatwo możemy stracić — lecz o lepszą śmierć, nie tą, którą nam gotują. Dlatego musimy się liczyć z każdą obietnicą, którą nam tu przedstawiają różne ugrupowania. Obietnice te zawierają magiczne słowo „wolność", być może, że najbliższe dni zmuszą nas do działania...."*

Nadzieje te nie miały się spełnić, wielu jednak powiodły się ucieczki, wolność oznaczała kontynuowanie walki z okupantem.

Zbigniew Brzozowski

Szlachetne hobby KOŁŁĄTAJ

(Dokończenie ze str. 6)

Zna całą rodzinę Kołłątaja — jego braci, ich losy i dzieje synów tych braci, a więc i te, że bratanek Eustachy — tradycyjnie nazwał swoich trzech synów także imionami Rafał, Jan i Hugo. Wzdycha do skarbów, które zgromadziła spokrewniona z Kołłątajami kielecka rodzina Niemojewskich, w których zbiorach prywatnych jest ponoć i autentyczna laska autora „Listów Anonima" i zegarek, i liczne portrety.

Na pożegnanie dzieli się ze mną wielce prawdopodobną hipotezą — a mianowicie tym, że, być może, zwłoki Hugona Kołłątaja leżą także w podziemiach wiśniowskiego kościoła. Jak pisał bowiem biograf Hugona Janik, pochowano go w niehebiowanej, pokrytej suknem trumnie. Może przewieziono ją potajemnie z Warszawy? Jest taka trumna w podziemiach — wśród czterech innych i być może jest to jedna z największych tajemnic Wiśniowej? Może kiedyś nauka zabierze tutaj głos, w co nie wątpi zapalony i oddany ideom Kołłątaja człowiek, zwany „wnuczkiem Kołłątaja" — Jan Henryk Góral ze Sztombergów. Po tym, co opowiedziałem, chyba nikt mu duchowego pokrewieństwa nie odmówi. Zasłużył sobie na ten tytuł, którego żartobliwe znaczenie przekształcił sam w poważny tytuł do dumy.

Ryszard Podlewski

Odpowiedzi redakcji

S. Ż. w Warszawie. Wydaje nam się, że Pana wiersze są bardzo nierówne. Obok udanych skojarzeń — fragmenty zupełnie „niedopracowane". Do obowiązków redakcyjnych w żadnym wypadku nie należy już adiustacja utworów poetyckich. Gdyby Pan przypadkiem znalazł się w Lublinie, prosimy nas odwiedzić. Podyskutujemy.

J. R. w Białymstoku. Prosi Pan o dwa, trzy zdania na temat nadesłanych wierszy. Niech pan przeczyta w druku utwór pt. „Ideał":

„Ideał to wszystko. A wszystko to nic. Osiągać ideał To dążyć do niczego? Nie! to było by za łatwe. Ideał to cel, marzenia, czasami abstrakcja. To doping do życia. To robienie czegoś z niczego".

Niestety, drogi Panie, poezji nie można robić z niczego. Przepraszamy!

W. P. w Warszawie. Bardzo nie lubimy, jeśli ktoś lekceważy Redakcję. Bez żadnego listu przewodniego przesyła Pan kopię maszynopisu pt. **„Rzeszowska babka"**. Do których pism wysłał Pan inne kopie? Nie skorzystamy, ponieważ na podobny temat (niezależnie od powyższych zastrzeżeń) pisaliśmy już kilka miesięcy temu.

T. J. w Lublinie. Pisze Pan w liście do Redakcji: **„Wybieram ze skromnego zbioru kilka — moim zdaniem — uroczych sonetów. Jeżeli wartość ich jest naprawdę dobra wykorzystaj. Autor"**. Wykorzystujemy jeden z Pana **„uroczych sonetów"** w tej rubryce: **„Ustawiam w szereg sonetów słowa, Niczym żołnierzy zakuwam w zbroję; Liczę od lewej, z prawej od nowa — Ilekroć zliczam, zawsze się boję. Własnego serca słucham uważnie I rytmu krokiem odmierzam takty: Pierwszy wyśpiewam smętnie, poważnie Śpiewam końcowych słów fakty. I zawsze spływa w słów kaskadzie Wodospad pieśni wydartej Muzom I zawsze serce pieczęć w nią kładzie Naczelnym: z żyły, z aorty tym w zadzie. Na przekór sobie, igraszkę ludziom; Na chwałę Tobie szlachetna Muzo"**. Niech Pan na przekór sobie, nie bezcześci szlachetnej Muzy!

„Elka" w Częstochowie. Przekazaliśmy Pani list „Jackowi". Ale dlaczego pisze Pani anonimowo?

H. K. w Białej Podlaskiej. Naprawdę chcemy coś wybrać z wierszy Pana i Pana kolegi. Mamy jednak tyle utworów poetyckich zakwalifikowanych do druku, że trudno obiecywać konkretny termin. Jeszcze trochę cierpliwości!

J. W. w Łodzi. Pana fraszki, niestety, słabe. **„Wiecznością bywa doba dla nieroba", „Drogi w przyszłość nie uprości mur obojętności", „Zbyt częsty gość jest jak w gadle ość"**. Myśli niby słuszne, ale fraszka wymaga czegoś więcej.

T. K. w Brodach Małych. Z zaciekawieniem przeczytaliśmy Pana list. Nie wydaje się jednak, by Pan właściwie odczytał i zrozumiał artykuł, o którym pisze. Może w przyszłości powrócimy jeszcze do tego problemu korzystając z własnych sił.

J. W. w Suścu. Przekazujemy Pana list autorowi artykułu.

J. S. w Janowie Podlaskim. Szlachetna myśl, ale forma wiersza b. słaba. Nie skorzystamy.

Z. W. w Katowicach. Dziękujemy za miłe słowa. Prosi Pan o **„surową ocenę"** nadesłanych wierszy. Niestety, rzeczywiście musi ona być surowa. Inni poeci, poruszając podobną problematykę, umieli daleko lepiej wyrazić swoje przeżycia. Życzymy Panu więcej oryginalności i mniej ogranych metafor!

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje Kolegium: Konrad Bielski, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski.

Przedstawiciele redakcji: BIAŁYSTOK — Stanisław Świerad („Gazeta Białostocka"), ul. Wesołowskiego 1, tel. 37-41, KIELCE — Tadeusz Bartosz („Słowo Ludu"), Plac Obrońców Stalingradu 2, tel. 82-26, RZESZÓW — Jan Grygiel („Nowiny Rzeszowskie"), ul. Żeromskiego 5, tel. 20-51.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i Ruch. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji: Lublin, ul. Graniczna 7 tel. 234-49

Zam. 2903. 24.VIII.66. L-4.

NAJLEPSZĄ FORMĄ TERMINOWEGO OTRZYMYWANIA „KAMENY" JEST PRENUMERATA

Z ŻYCIA WZIĘTE

Obyczaje

TELEWIZJĘ nazywają największym złodziejem czasu. Jest to jednak jedyny złodziej, jakiemu ludzie dają się bezkarnie okradać. A szkoda. Nie wiem, skąd się bierze ten powszechny bezkrytycyzm w stosunku do telewizyjnego programu, to osamotnienie recenzentów, ta wspaniałomyślność wobec zdarzającej się kiepskiej roboty. Kolega po piórze smaży już trzy lata recenzje i jeszcze nie otrzymał listu od zwykłego telewidza. Może działa tu magiczna plansza „Usterki, nie regulować odbiorników", albo „Zakłócenia na linii, przepraszamy", może jeszcze dotąd ludzie nie mogą wyzwolić się spod magii srebrnego obrazu, który sprowadził im cały świat za próg ich własnego mieszkania.

Zjawisko nie jest dobre, demoralizuje bowiem samych pracowników telewizji. Znam wypadki, gdy widzowie nezestniczący w jakiejś imprezie lub zwykli przechodnie spotkani na ulicy miasta protestowali na widok wymierzonego w nich aparatu fotoreportera prasowego, albo odmawiali udzielenia kilkuzdaniowego wywiadu. Ci sami ludzie zmieniali się jednak, gdy dostrzegali, że jest w nich skierowana kamera telewizyjna: prostowali się, poczynali stroić miny, zaczynali grać, podnosili ręce i pozdrawiali nimi swoich znajomych, siedzących w tej chwili przy odbiornikach. Na widok obiektywów ludzie przestają być sobą, młodzież gotowa jest do największych poświęceń. Byłbym niesprawiedliwy, gdybym nie wyłączył z tego naszych piłkarzy. Oni jedyni nie reagują na czar telewizyjnych kamer. Niezależnie od tego, czy mecz jest transmitowany, czy nie, grają jednakowo. Jednakowo źle. Ale jest to wyjątek, a jako taki potwierdza regułę: telewizja stała się rozpieszczonym dzieckiem społeczeństwa.

Powiedziałem już, że odbija się, to na samej telewizji. Za popularność trzeba płacić. W tym wypadku cena jest szczególnie wysoka. Atmosfera popularności i zachwytu, jaką stwarza wokół telewizji wzrok milionów utkwiony co dzień w białej skrzynce rodzi w samej telewizji dziwaczne zwyczaje.

Niedawno byłem świadkiem audycji, w której nieznany nikomu reporter TV przeprowadzał wywiad z sędziwym naukowcem o światowej sławie. Przez kilkanaście minut mówił tylko reporter, mimo że niewiele miał do powiedzenia. Profesor służył jako tło dla popisu reportera, zdołał w ciągu audycji powiedzieć tylko: „bardzo się cieszę, tak, tak jest istotnie" i „bardzo mi było miło". Reporter nie dopuścił go do głosu.

Ludzie z zewnątrz, ci których prosi się do studia, aby coś istotnego przekazali telewidzom, są traktowani gorzej niż konsument w restauracji III kategorii. Telewizja twardo przestrzega zasady, że po zakończeniu rozmowy lub wywiadu informuje się telewidzów wyłącznie o tym, kto przeprowadzał rozmowę. Z kim — to niewaźne. A człowiek siedzi w studio i nie ma najmniejszej możliwości sprawdzenia, co się z nim robi.

Te dziwne obyczaje naszej telewizji poczynają nabierać monstrualnych rozmiarów. Oto idzie mały filmik, albo jakiś zlepek rozrywkowy. Trwa wszystkiego dziesięć minut. Koniec, wydaje się, że zaraz zobaczymy następną audycję. Próżne nadzieje. Na ekranie ukazują się szeregi nazwisk. Najpierw wykonawcy, potem autorzy, reżyser i kamerzyści. Myślisz, że to koniec. Gdzie tam. To prawdziwa powódź. Dowiadujemy się więc, jak się nazywają drugi i trzeci reżyser, pomocnik kamerzysty, kto operował światłem, kto inscenizował, kto szył kostiumy, kto ustawiał piosenkarzy, ukazuje się nazwisko kierowcy wozu transmisyjnego, jego pomocnika, potem idą pomocnicy pomocników. Brakuje tylko nazwisk ich żon i narzeczonych. Drugie dziesięć minut nie wiadomo na co.

Śmieszy to celebrowanie każdej audycji, ten brak selekcji nazwisk, te ciągłe plansze stacji, te pieczątki przed i po, te wizytówki przy każdej okazji. A może jest w tym jakiś sens. Może rzeczywiście telewidzowie chcą wiedzieć, kto pomagał kamerzyście kiedy oglądaliśmy planszę z napisem: „Usterki, nie regulować odbiorników"?

Koniec

Tekst: BAR
Adiustacja: J. DOSTATNI
Zatwierdzenie do druku: M. A. JAWORSKI
Skład: J. WILKOSZ
Łamanie: B. SAGAN
Rewizja: A. KRÓLIKOWSKA
Superrewizja: M. DERECKI
Maszyny płaskie: A. KOBZAK
Introligatornia: U. WINCZURA
Ekspedycja: Z. DUSIK
Kierowca wozu „Ruchu": A. KOWALSKI.
Sprzedawca: S. BIDACHA i inni.

Zupełnie nieźle to wygląda. Precz z anonimowością ludzkiego wysiłku! Upowszechniajmy doświadczenia Telewizji!

BAR

MINUTA MYŚLENIA

Nie-do-Leśmian

CZY Hamilton stołuje się w „Kuchni polskiej"? Bo już dwa razy zasilił swój wigor felietonisty tekstami przyrządzonymi przez KTT. Po raz drugi zdarzyło się to odnośnie wspomnień o Leśmianie wydanych przez Wydawnictwo Lubelskie. KTT wyszydził rozdział napisany przez Marię Ludwikę Mazurową, która we wspomnieniu o wielkim poecie nieustannie przytacza interwencję sił nadprzyrodzonych. Hamilton uczynił to samo, co KTT, ale dla zmiany tonacji w sposób perwersyjny, pozornie usprawiedliwiając autorkę. Właściwie dotąd obaj mają rację: Mazurowa wyraźnie przesoliła w zabiegach nadania niesamowitej aury postaci Leśmiana zbyt naiwnie i upraszczająco zaprawiając ją elementami tej metafizycznej poezji. Ale nie mają racji, kiedy pretensje kierują pod adresem redaktora tomu, Zdzisława Jastrzębskiego. Cóż bowiem miał zrobić redaktor? Mazurowa jest ni mniej ni więcej, tylko córką Leśmiana, a więc osobą, której obecność w tak pomyślanym wydawnictwie jest jak najbardziej uzasadniona. Zamówiwszy wspomnienie o jej ojcu Jastrzębski otrzymał tekst taki, jaki otrzymał. Co z tym fantem? Przekonywać autorkę, co do okoliczności, które właśnie w tym wypadku ma prawo opisywać na własny rachunek? Zamówionego tekstu nie zamieścić? Tak postępują redakcje warszawskie. Wybrał wyjście mimo dyskusyjności otrzymanego materiału redaktorsko mające uzasadnienie, umożliwiając córce wspomnienie ojca. Co nie oznacza, że podziela wiarę w duchy.

Ale zostawmy tę spiryto-machię. Przejdźmy do samej książki. Otóż — na czytelniczy gust niżej podpisanego — takie kolektywne wspomnienia w ogóle nie spełniają swej roli. Nie spełniły nawet w wypadku Gałczyńskiego, którego „renesansowy" tryb życia powinien — zdawało się — dać specjalną pożywkę ewokacji anegdoty. Tymczasem na siedmiuset stronicach druku mieliśmy na dobrą sprawę kilka dykteryjek ubieranych w dodatku w sprzeczne okoliczności, zaprawionych mniej lub więcej interesującymi refleksjami o charakterze dywagacji. Tak zwana plastyka opisu nie pokazała się tu przekonująco, czytelnik brnął przez obszary tekstu wiedziony raczej oddziaływaniem samej poezji, aniżeli autentycznością życiowego kostiumu, w który go chciały ubrać wspomnienia.

Bo może o poecie można pisać tylko tak, jak Szkłowski o Majakowskim? To znaczy nie gubiąc niczego z rozmiaru samego twórcy, umiejąc wygrać kontrapunkt tasowania się twórczości z życiem? Chyba nieodzowne jest pamiętać, o kim się pisze. Trudno i darmo. Gdybym nie przeczytał „Sadu rozstajnego", „Łąki", „Napoju cienistego", nie za wiele widziałbym powodów do czytania „Wspomnień o Bolesławie Leśmianie". A gdybym nie znał „Zaczarowanej dorożki", „Niobe", „Wita Stwosza", w ogóle nie przebrnąłbym przez „Wspomnienia o K. I. Gałczyńskim" znajdując tam niewiele ponad powtórkę przekazywanej ustnie anegdoty. Trochę to i nieistotne i nieciekawe, kiedy się wielkiego poetę po śmierci sadza przy familienbiacie. Cała jego twórczość jest wtedy — niestety, siłą samej proporcji — przeciw. Boy też pisał o Balzacu en pantouffles. Ale w tych pantoflach czuło się autora „Komedii ludzkiej".

Przesadzam? Oby! Wtedy znacznie strawniej by się czytało te powszednie appendixy do niepowszedniej twórczości, przy których łatwo pośliznąć się w trywialność, w płaskość, w amikoszoństwo. Leśmian rozmawiał z (nieciekawym w żadnej anegdocie) Franciszkiem Fiszerem. Leśmian przesłał broszkę Belli W., Leśmian był nieporadny życiowo, a jednocześnie skrupulatnie zabiegający o karierę. Czy to naprawdę o Leśmianie? Bynajmniej nie chcę widzieć tu piedestału, ani czuć kadzideł, ale te drobne okruszki wcale mi nie tworzą postaci. Wspomnienie, z jakim mamy ostatnio do czynienia z racji naszych wielkich śmierci jest źle umocowanym plecakiem, do którego się wrzuca przypadkowo ocalałe w pamięci kłamoty, albo zlepkiem fragmentów, którym dla ciągłości dorabia się chronologię i związek przyczynowy. Szczególnie to niebezpieczne w wypadku Leśmiana, którego monografia nie stała się jeszcze w wystarczającym stopniu przedmiotem powszechnej lektury.

Dodajmy jeszcze, że nie uwagi to pod adresem lubelskiego wydawcy. Przeciwnie. Uznanie wyrazić, że w tych warunkach zrobił wszystko, by niebywałe poetyckie zjawisko jakie się przesunęło nad lubelskim horyzontem możliwie wiernie odtworzyć z obserwacji świadków. Którzy w obawie przed brązownictwem zanadto zawierzyli prawu odwróconej lornetki.

Ijon

BIG-BEAT

Elementarz pani Wolskiej

PANIE REDAKTORZE! No, nareszcie skończyły się moje kłopoty z odpisywaniem na listy. Bo musi Pan wiedzieć, Redaktorze, że ja strasznie nie lubię prowadzić korespondencji. Jedyny wyjątek — to moje listy do Pana, udostępnia je Pan jednak szerszemu ogółowi, muszę je więc traktować na zupełnie innych prawach...

Do rzeczy jednak. Leży przede mną prawie 400 stron licząca książeczka pióra niejakiej Katarzyny Wolskiej, wydana przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą. Już po raz trzeci, w nakładzie 60 tysięcy egzemplarzy. Rzecz ma na pewno duży aspekt wychowawczy, o czym świadczy już sam tytuł publikacji: „Jak pisać listy i podania". Nie wnoszę więc żadnych zastrzeżeń do przykładów w rodzaju: „Pismo w sprawie zorganizowania kółka rolniczego" czy „Podanie w sprawie odszkodowania za padłego konia". Zainteresował mnie natomiast dział, który autorka zatytułowała „Listy miłosne". Uważam, że niektóre listy tego rodzaju warto gwoli rozrywki upowszechnić.

A więc np. rozwiedziony obywatel PRL pragnie ponownie wstąpić w związki małżeńskie. Pani Wolska radzi mu, aby list do wybranki skonstruował w następujący sposób:

„Szanowna Pani!

Małżeństwo moje nie było szczęśliwe. Mając dwadzieścia lat ożeniłem się potajemnie, bez zgody rodziców, z kobietą o kilka lat starszą ode mnie i doświadczoną życiowo.

Szybko nastąpiło rozczarowanie. Mój własny dom stał się dla mnie piekłem. Musiałem rozstać się z żoną i od kilku lat żyję samotnie. Mam z nią dwoje dzieci. Na utrzymanie ich płacę uczciwie. Mam oficjalny rozwód, na który dawna moja żona wyraziła zgodę. Płacę jej sumę... zł miesięcznie.

Chcę wstąpić w nowy związek małżeński i proszę Panią, aby zechciała zostać moją żoną. Ślub nasz mógłby się odbyć jeszcze w tym roku. Dzieci swe pragnę widywać codziennie lub trzy razy w tygodniu (w zależności od wolnego czasu) i przebywać z nimi około dwóch godzin, aby pomagać im w nauce i wywierać na nie wpływ wychowawczy.

Proszę o odpowiedź dopiero po zastanowieniu się; niech Pani zapyta także swego serca....

Przesyłam wyrazy szacunku i wielkiej życzliwości..."

Co na takie dictum ma odpisać wybranka? Posłuchajmy pani Wolskiej:

„Szanowny Panie!

Z treści Pańskiego listu można wnioskować, że jest Pan szczerym i uczciwym człowiekiem. Tak też przypuszczam. Chciałabym jednak zobaczyć — jak to mówią — „odwrotną stronę medalu", czyli wiedzieć, co sądzi o swym nieudanym małżeństwie była żona Pana oraz jaką opinię ma Pan wśród znajomych i przełożonych w miejscu pracy.

Proszę wybaczyć, że tak szczerze wyjawiam swoje zastrzeżenia, ale skoro mam połączyć się z Panem na całe życie, muszę poznać Go dobrze.

Po wyjściu za mąż chciałabym mieć własne dziecko, dlatego pragnę wiedzieć, czy materialnie będzie Pan mógł zapewnić utrzymanie mnie, a kiedyś i naszemu dziecku. Ponadto musiałabym bliżej poznać Pana i dlatego w tym roku nie moglibyśmy jeszcze się pobrać.

Jeśli Panu odpowiada moje stanowisko w tej sprawie to uprzejmie proszę odwiedzić mnie i moich rodziców albo odpisać mi szczerze i możliwie wyczerpująco..."

Strasznie przewidująca i piekielnie rzeczowa musi być przyszła narzeczona. Ciekawi mnie tylko, czy między Bugiem a Odrą zwraca się jeszcze ktoś z propozycją małżeńską per „pan" i „pani". Zwłaszcza facet rozwiedziony, a więc doświadczony życiowo, nie na tyle jednak, by po raz drugi nie zakuwać się w kajdany (Podobno nie jest wart rozwodu człowiek, który szybko popełnia to samo głupstwo).

A posłuchajmy „listu zakochanej dziewczyny do matki". Z braku miejsca cytuję już tylko fragmenty:

„Kochana Mamo!... Od dwóch miesięcy pracuje w naszym zakładzie fryzjerskim nowy pracownik, pan B. M. Jest on niezwykle miły, przystojny, dowcipny i ładnie śpiewa. Jest co prawda ode mnie o wiele starszy, ma żonę i dziesięcioletnią córeczkę. Cóż z tego, kiedy żony swej nie kocha, jest z nią okropnie nieszczęśliwy i pragnie się rozwieść. Mówi, że od obowiązków się nie uchyla i na utrzymanie rodziny będzie płacił. Dla mnie jest bardzo dobry. Codziennie chodzimy do kina, restauracji albo na zabawy. Kupuje mi różne prezenty i słodycze. Kochamy się bardzo i czas upływa nam szybko i przyjemnie. Napisz mi, Kochana Mamusiu, jak zapatrujesz się na tę sprawę"...

Kochana Mamusia jest oczywiście przerażona. Śle pospiesznie list:

„....Dobrze, że napisałaś do mnie szczerze o swych przeżyciach miłosnych, chociaż zmartwiłaś mnie tym ogromnie. Otóż, Kochane Dziecko, radzę Ci, proszę i nakazuję, zerwij jak najprędzej znajomość z tym człowiekiem. Może zmienisz pracę... Jesteś młoda, niedoświadczona i dlatego bezwzględna dla innej kobiety... Pomyśl, ile jego żona przecierpiała przez tego lekkomyślnego i samolubnego człowieka..."

List dokonał cudu. Córeczka odpisuje:

„....Wdzięczna Ci jestem za czułość, za mądre uwagi i przestrogi. Masz zupełną rację. Pod wpływem Twego listu postanowiłam rozmówić się z p. B. M. Wieczorem, byliśmy w cukierni na kawie, powiedziałam mu o swoich wątpliwościach, wyrzutach sumienia i zastrzeżeniach. Wyśmiał mnie wówczas i powiedział, że jestem zacofaną dziewczyną ze wsi, że miejskie panny są mądrzejsze, postępowe i żyją sobie wesoło i beztrosko. Oburzyło mnie to do głębi, i rozstaliśmy się w gniewie. W zakładzie wcale z nim nie rozmawiam... Gniewam się na niego, bo — wyobraź sobie, Mamo — przed kilku dniami spotkałam go na ulicy w towarzystwie kelnerki z tej kawiarni, gdzie ostatnio byliśmy razem. Ona przychodzi się czesać do naszego zakładu, a teraz to często czeka na p. B. wieczorem na ulicy.

Ciężko przeżywam te chwile pierwszego zawodu i rozczarowania, ale może lepiej, że tak się stało... PS. Będę się starała zmienić miejsce pracy".

Cudowne jest jednak życie! Mądre rady matuli natychmiast odnoszą zbawienne skutki. Maluczko, a sprawy rozwodowe znikną z wokand sądowych. Wszystko dzięki pani Katarzynie Wolskiej...

Panie Redaktorze, znam kilka dziewcząt, które flirtują z żonatymi mężczyznami. O ile wiem, żadna nie zwróciła się do matki z prośbą o radę. Najwidoczniej nie przeczytały książeczki pani Wolskiej. A swoją drogą poważna część tej publikacji mogłaby się z powodzeniem ukazać w „Bibliotece „Szpilek". Może czwarte wydanie?

Ściskam Pana Redaktora.

Jacek

NOTY i notki

OSTATNI SIERPNIOWY NUMER „ŚWIATA" przynosi m. in. fotoreportaż z „Baletów królewskich", imprezy na wolnym powietrzu, przed pałacem w Wilanowie. Byliśmy, oglądaliśmy. Doskonały pomysł, świetny muzyczny zespół kameralny „Con moto ma cantabile", ale co z tego kiedy mało czytelne libretto baletowe, fatalna choreografia i kostiumy, a wreszcie skandaliczna organizacja widowni. Warszawiacy (a także zagraniczni goście, dla których wilanowskie przedstawienie miało podobno stanowić końcowy akord w poznawaniu cudów stolicy), którzy z entuzjazmem odnieśli się do pomysłu, ze strachem patrzyli chwilami na późniejsze jego realizacje przez warszawską Estradę. Podobno wszystkiemu winne względy oszczędnościowe (nawiasem: bilety à 30 zł!). Ale, jak stwierdza w tymże „Świecie" Jerzy Waldorff... „jeśli chcemy mieć spektakle za dolary, dla etranżerów, to najpierw musimy inwestować w nie przynajmniej dużo złotówek. Nie szczędzić na najlepszych choreografów, reżyserów, na specjalnie szyte kostiumy. Słowem, za Adamem: „Pieniędzy wołam i buławą sięgam!". Tylko gdzie znaleźć buławy dość mocne na twarde głowy naszych finansistów?...".

Właśnie. Oto jest pytanie!

Z RADOSNĄ NADZIEJĄ spoglądamy u progu nowego sezonu na teatr im. Osterwy w Lublinie. Nie dość, że dyrektor Torończyk wyjeżdża (jako stypendysta Ministerstwa Kultury i Sztuki) za granicę, nie dość, że gmach teatru otrzymał świeże tynki, to w dodatku powraca do Lublina (po kilkunastoleniej nieobecności), Jerzy Pleśniarowicz, który objął w naszym teatrze funkcję kierownika literackiego. Może nareszcie doczekamy się programów teatralnych z prawdziwego zdarzenia? Nie mówiąc już o repertuarze...

NA MARGINESIE toczącej się w prasie kieleckiej dyskusji nt. teatru: w połowie sierpnia — jak pisze „Słowo Ludu" — czterokrotnie odwoływano w radomskim teatrze spektakle „Fizyków" Dürrenmatta, ponieważ na cztery kolejne przedstawienia sprzedano tylko sześć (!) biletów.

(md)

Żarty z pegazem

Rys. Wiesław Fuglewicz